CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 2 SIERPNIA 1936 R. NR. 26

Polska w Europie

W jednym z poprzednich n-rów „Narodu i Państwa" poddaliśmy analizie obecny układ stosunków międzynarodowych Europy, dochodząc do następujących wniosków: 1) zasadniczą cechą dzisiejszego układu stosunków europejskich jest jego niestałość, 2) od dłuższego czasu jesteśmy świadkami słabnięcia poprzedniej hegemonji angielsko - francuskiej, przyczem czynnikiem wzmacniającym swoją pozycję kosztem tego osłabienia są — a prawdopodobnie jeszcze przez dłuższy czas będą Włochy, a w jeszcze większej mierze Niemcy, 3) istnieją powody, dla których szybkie zakrzepnięcie stosunków europejskich w formie definitywnie określonych bloków, o celach wyraźnie wojennych, nie musi być uważane za konieczne i naturalne, 4) nie oznacza to bynajmniej usunięcia z powierzchni życia politycznego współczesnej Europy stałej groźby wojny, szczególnie wobec faktu, że cele polityczne zarówno Włoch, jak Niemiec, dają się realizować przedewszystkiem w atmosferze niepokoju, 5) stosunki polityczne Europy są i będą w dalszym ciągu komplikowane przez układ stosunków społecznych w poszczególnych państwach.

W tych warunkach jakież jest położenie międzynarodowe i jakie mogą być linje polityczne Polski?

Jeden jest pewnik. Świat jest dziś zanadto skomplikowany, łańcuch współzależności zjawisk zbyt silny, by Polska mogła w dzisiejszej Europie pokusić się o zapewnienie sobie warunków względnej izolacji i neutralności. Dzisiaj nie uda nam się na czas dłuższy powtórzyć taktyki, którąśmy niejednokrotnie — i z dużą dla nas szkodą ostateczną — stosowali w przeszłości historycznej, to jest wyłączenie biegu naszej historji z ogólnego nurtu historji Europy. Jesteśmy w tej sytuacji i w tem położeniu, że nie uda nam się być tylko widzami, musimy być współuczestnikami, aktorami, niemal każdego poważniejszego w Europie dramatu.

Stwierdzenie powyższej prawdy w związku z dzisiejszą sytuacją polityczną nie może prowadzić do wniosku, że nasze położenie w Europie uległo jakiejś zmianie, jakiemuś pogorszeniu w ostatnich latach, czy w ostatnim okresie. Po pierwsze niewiele jest dzisiaj państw w Europie, któreby w mniejszym, czy większym stopniu nie musiały o sobie i o swem położeniu podobnie powiedzieć, po drugie nasza sytuacja polityczna była od pierwszych lat odzyskania niepodległości szczególnie trudna i skomplikowana.

Skomplikowanie to wynikało już nietylko z naszych stałych warunków geograficznych, z naszego położenia pomiędzy Niemcami i Rosją, które, z natury rzeczy, nie należy do wygodnych i bezpiecznych. Wynikało ono z faktu, że 90% naszych granic lądowych zostało ustalone w drodze mniej lub więcej jawnej i ostrej walki bezpośredniej, lub politycznej, co w konsekwencji musiało oddziaływać na istnienie i utrzymywanie się wokoło nas atmosfery pewnego zaognienia i niepokoju. A równocześnie nasze warunki wewnętrzne, stan wyniszczenia gospodarczego, stan zagadnień narodowościowych, sprawiał, że w ogólnym bilansie naszej siły politycznej byliśmy przez całą bez wyjątku Europę oceniani bez porównania niżej, niżby to wynikało z ogólnych liczb wskaźnikowych siły Państwa Polskiego, a więc z powierzchni naszego terytorjum, liczby ludności, miernika naszej siły wojskowej, rocznika urodzin, wysokości przyrostu naturalnego etc.

Dla naszego znaczenia politycznego, a również dla wytworzenia warunków względnego bezpieczeństwa państwowego, miało to znaczenie duże i bezpośrednie. Należąc z punktu widzenia wszystkich wymienionych wyżej liczb wskaźnikowych do rzędu sześciu pierwszych państw Europy, musieliśmy nietylko z trudem i pewnem upokorzeniem dobijać się o tego rodzaju zewnętrzne symbole uznania naszej roli i siły, jak miejsce w Radzie Ligi Narodów, czy też udział w takich, lub innych, konferencjach międzynarodowych, lecz przedewszystkiem byliśmy zawsze i wszędzie traktowani z punktu widzenia legendy o pewnej nienaturalności i niepewności naszego położenia. Można określić to w ten sposób, że byliśmy uznani, używając modnego w pewnym czasie określenia, za państwo o ograniczonych wpływach, możliwościach i interesach, ale o nieograniczonych niebezpieczeństwach.

Tego rodzaju sytuacja zawierała w sobie coś więcej, aniżeli tylko przykrość emocjonalną. Zawierała ona w sobie zupełnie realne trudności i niebezpieczeństwa polityczne. Odbijała się ona na stosunku naszym do państw innych i na stosunku tych państw do nas. Dotyczyło to zarówno państw usposobionych dla Polski niechętnie, jak również i tych, które były dla niej usposobione jak najżyczliwiej.

Nie miejsce tutaj na przeprowadzenie zbyt szerokiej analizy naszego położenia w pierwszych latach niepodległości, przypominanie, w jakiej mierze niektóre posunięcia naszych sąsiadów ze wschodu i zachodu (np. akcja band dywersyjnych ze strony Rosji, odmowa podpisania traktatu handlowego ze strony Niemiec) podyktowane były legendą o nietrwałości, „sezonowości" Polski. Lecz legenda ta oddziaływała również poważnie na sposób wymierzania naszej wartości sojuszniczej, na całość naszego położenia politycznego, a w rezultacie musiała ona ciążyć również i nad realnemi krokami naszej polityki zagranicznej.

Wytyczne tej polityki były jasne i bezsporne. Od pierwszych dni powstania isto-

tnie niepodległego państwa podstawą naszej polityki zagranicznej było przekonanie o naturalności i konieczności przedewszystkiem jednego związku przyjaźni: sojuszu polsko-francuskiego. Niemal we wszystkich naszych walkach o granice (z wyjątkiem granicy polsko-czeskiej) Francja była jedynem państwem, które szczerze popierało dążenia polskie i które naprawdę było zainteresowane w stworzeniu na wschodniej granicy Niemiec silnego Państwa Polskiego. Stąd też podstawy sojuszu były dla obu stron jasne i naturalne, wspólność dążeń i zainteresowań zupełna.

Lecz i w tym stosunku był jeden moment komplikujący i utrudniający. Tym momentem była właśnie ujawniająca się w pewnych okresach po stronie francuskiej niepewność, czy korzyści płynące z sojuszu z Polską równoważą dla Francji płynące z tego sojuszu trudności i niebezpieczeństwa. Rozumowanie było proste, choć naiwne. Francja przedewszystkiem pragnie pokoju. Punktem, z którego najłatwiej wybuchnie pożar wojenny jest granica polsko-niemiecka. Czy istotnie warto jest ponosić ryzyko, że Francja zostanie wciągnięta w wojnę wbrew swej woli, tylko dlatego, by dotrzymać sojuszniczego obowiązku w stosunku do Polski.

Rozumowanie to, jak wspomnieliśmy wyżej, było proste, a mimo to, czy właśnie dlatego, naiwne. To też kto we Francji umiał patrzeć na rzeczy trzeźwo, ten stał na gruncie zasadniczej konieczności utrzymania za wszelką cenę realnej asekuracji bezpieczeństwa francuskiego również i na wschodniej granicy Niemiec. Kto jednak myślał płochliwie, a w pewnych okresach takich znajdowało się w społeczeństwie francuskiem bardzo wielu, ten zadawał sobie pytanie, czy nie jest najmądrzejszem wyjściem dla Francji kupienie spokoju Europy za cenę ewentualnych drobnych korektyw granic niemieckich na wschodzie. W rezultacie, szczególnie w latach 1930 — 1932, znajdowali się tacy gorliwcy, którzy sojusz polsko-francuski pragnęli pojmować przedewszystkiem w ten sposób, że starsza sojuszniczka i we wzajemnym stosunku uprawniona przez układ sił opiekunka, Francja, może mieć niejako za obowiązek uratowanie własnego pokoju i pokoju Polski przez wynalezienie jakiegoś dowcipnego rozwiązania, któreby z możliwie małą szkodą Polski dawało możliwie wielką satysfakcję Niemcom. Odpowiadało to zresztą tej metodzie, którą własnym kosztem Francja stosowała stale na zachodzie. Głosy te we Francji może już zostały zapomniane, Polska jednak tak łatwo o nich zapomnieć nie powinna, gdyż w naszym układzie stosunków stanowiły one jedno z najbardziej realnych niebezpieczeństw dla pokoju Europy.

Przypomnienie tych faktów z przeszłości względnie tak bliskiej nie jest bynajmniej przejawem jakiejś złośliwości w stosunku do Francji w momencie, w którym — niekoniecznie z korzyścią dla Polski — następuje jakgdyby pewne osłabienie sytuacji politycznej Francji w Europie. Przypomnienie to może być natomiast pomocne do wyciągnięcia pewnych wniosków z oceny obecnej sytuacji europejskiej, której najistotniejsze cechy przypomnieliśmy na wstępie niniejszego artykułu.

Reasumcją niejako tych cech może być stwierdzenie, że żyjemy w okresie powszechnego niepokoju politycznego, przy równoczesnem osłabieniu dotychczasowych czynników bezpieczeństwa pokoju Europy. Z punktu widzenia europejskiego pacyfisty, a Polska należy do krajów zainteresowanych w utrzymaniu pokoju, należy uznać to za zjawisko smutne i groźne. Jednakże nie należy zamykać oczu na fakt, że w zjawisku tem jest jeden moment z polskiego punktu widzenia dodatni. Skomplikowanie sytuacji europejskiej przyniosło niejako zatarcie i odjęcie nam tego niezbyt ponętnego przywileju z przed kilku lat, że jesteśmy, jeśli nie jedynym, to w każdym razie głównym ogniskiem niepokoju europejskiego. Ognisk tych jest dzisiaj więcej, przyczem naprawdę nie dadzą się one ściśle oddzielać i izolować. A niezależnie od tego, gdzie i kiedy konflikt może wybuchnąć, zachowanie się Polski w chwili jego wybuchu nigdy i dla nikogo w Europie nie będzie obojętne. Stan dzisiejszy, przy którym zachowanie się Polski jest jednym z głównych czynników decydujących o zwycięstwie, powinien być nietylko utrzymany, ale może być poważnie wzmocniony, w zależności zarówno od układu stosunków międzynarodowych, jak przedewszystkiem w zależności od stopnia naszego pogotowia i stanu naszych sił narodowych i państwowych.

Tego rodzaju sytuacja jest politycznie dość wygodna. Może ona poniekąd równoważyć inne, wyżej omówione, stałe niewygody naszego położenia. Z państwa o ograniczonych możliwościach i interesach a nieograniczonych niebezpieczeństwach powinniśmy stopniowo stawać się tem, czem jesteśmy w istocie: jednym z głównych i najważniejszych partnerów wielkiej gry europejskiej, której hasłem dla każdego z zainteresowanych są te same dwa słowa — pokój, lub zwycięstwo.

Podstawą naszej polityki zagranicznej był i jest sojusz polsko-francuski. Czy ostatnie przekształcenia sytuacji europejskiej, których wyrazem, między innemi, było pewne osłabienie i utrudnienie politycznego położenia Francji, zmieniają i podważają znaczenie tego sojuszu?

Z polskiego punktu widzenia, bo francuski może być w pewnym, aczkolwiek ograniczonym, stopniu inny, ewolucja ta przedewszystkiem usuwa dotychczasowy najważniejszy czynnik osłabiający znaczenie tego sojuszu, którym było częste, chociaż niesłuszne, przekonanie po stronie francuskiej, że sojusz ten jest niejako niesprawiedliwy w rozłożeniu płynących z niego korzyści i obciążeń, że dając większe korzyści Polsce, większemi obciążeniami dotyka on silniejszą politycznie Francję. Ten stan istniał, a przynajmniej zdawał się istnieć, w tym okresie, w którym ogniskiem niepokoju europejskiego miała być przedewszystkiem Polska we wzajemnym stosunku jej do sąsiadów. Dzisiaj, przy daleko posuniętem skomplikowaniu sytuacji europejskiej, tego rodzaju nierówność, jeśli nie jest zupełnie przekreślona, to w każdym razie jest bliska zera. I tę zmianę zarówno rządy, jak społeczeństwo Francji, powinny należycie ocenić i docenić.

Na przeszkodzie należytemu docenieniu tej zmiany we Francji stają dwie złudne koncepcje polityczno-militarne. Jedna: że Francja może sobie stworzyć sztucznie tego rodzaju zapory i zabezpieczenia na pograniczu niemiecko-francuskiem, które niejako pozwolą jej izolować się od bezpośredniego udziału w konfliktach europejskich; druga: że miejsce Polski we wzajemnym stosunku sojuszniczym może być z powodzeniem zastąpione przez takiż sam stosunek sojuszniczy z Rosją Sowiecką.

Obie te koncepcje są fikcją. Takie lub inne „linje", będące próbą wzniesienia sztucznych Pirenejów i na wschodniej granicy Francji — nie mogą być próbą utrzymania politycznego znaczenia Francji ani w świecie, ani nawet w Europie. Byłyby one tylko czynnikiem dobrowolnej rezygnacji z tego znaczenia. Lecz naród francuski należy do tych, które mają szczególnie żywe poczucie historji. Stąd tego rodzaju koncepcje „chińskich murów" nie mogą być na dłuższą metę wykładnikiem jego ambicji i jego stosunku do świata.

Koncepcja zastąpienia sojuszu polsko-francuskiego sojuszem rosyjsko-francuskim jest niewątpliwie dla wielu czynników we Francji ponętna. Jest ona ponętna zarówno dla skrajnej lewicy, jak dla ludzi leniwo myślących, którzy tęsknią do dobrych przedwojennych czasów i sojuszów. Lecz przecież sojusz z Polską i sojusz z Rosją to nie są dla Francji wartości jednogatunkowe i jednoznaczne. Sojusz polsko-francuski jest podstawowym i naturalnym czynnikiem stosunków politycznych Europy, gdy sojusz z Rosją Sowiecką rzutuje się już politycznie w zupełnie innej płaszczyźnie, przenosi zagadnienie z względnie wąskiego kręgu stosunków kontynentalno-europejskich na płaszczyznę stosunków globowych. I to politycy francuscy rozumieć muszą i ostatecznie rozumieją.

Stąd też, jeśli chodzi o zasadnicze linje polityki zagranicznej Polski, to linje te w dzisiejszej sytuacji europejskiej nie muszą i nie powinny ulegać zmianom o charakterze zasadniczym. I do tego faktu, zdaje się, wszyscy w Polsce ustosunkowują się w sposób bardzo podobny, choć może nie w równej mierze konsekwentny i zdecydowany.

Reasumując: zmiany i komplikacje w stosunkach politycznych Europy nie mogą być dla Polski obojętne. W ogólnym wyniku niekoniecznie muszą być one dla nas pogorszeniem i zaostrzeniem naszej sytuacji politycznej. Przeciwnie, stwarzają one dla aktywnej, choć spokojnej, polityki polskiej warunki dość pomyślne, pozwalające nam na odegranie poważniejszej może roli w stosunkach europejskich, niżeli wynikało to z warunków poprzednich.

S. Ieden

1. Kierunek

Polska, jako Państwo, ma cele: zewnętrzne, okolicznościowo związane z układem stosunków międzynarodowych i wewnętrzne, nadrzędne względem wszelkich interesów (jednostkowych i grupowych) swych obywateli. Cele współczesnego Państwa Polskiego, zdeterminowane zasadniczo przez warunki geopolityczne i ich dzieje, zależne od jego własnych potrzeb i konieczności, — są określane, korygowane i realizowane przez państwowy zespół kierowniczy. Stopień konsekwencji następujących po sobie członków zespołu kierowniczego w stosunku do określonych już celów — decyduje o czasie i wielkości osiągnięć. Wraz z osiągnięciem przestaje istnieć określony cel i stanowi odtąd tylko przebyty punkt etapowy.

Polska, jako Naród, posuwa się „marszem ubezpieczonym" w Nieznane; zna tylko kierunek tak, jak każdy gatunek biologiczny „zna" swój przyrodzony instynkt utrzymania gatunku. Polska, jak inne narody, wytwarzała i nadal wytwarzać będzie obdarzonych silniejszym od przeciętnego instynktem narodowym przywódców, którzy z różnym stopniem świadomości będą zużywali swe życie na spełnianie tej funkcji — swego przeznaczenia. Ujawniali i ujawniać będą nadal różny stopień siły płynącej z instynktu narodowego i zdolności wzbudzania go wśród współplemieńców, przy należytem uogólnieniu, w sposób podobny, jak oficerowie przed natarciem komenderują: „Kierunek x! Pojedyńczo od prawego przebiegać! Lewe skrzydło wzmocnić ogień!"

Polska, jako Państwo, jest organizacją zupełnie różną od przedrozbiorowej, — daleko lepiej przystosowaną do wydawania celowych dyspozycyj marszowych, utrzymania porządku w maszerujących kolumnach, rozpoznania nieprzyjaciela, uniknięcia go lub zorganizowania walki z nim. Skoncentrowanemi możliwościami w tych umiejętnościach wyprzedzają nas jednak znacznie inne narody, zwłaszcza te, których kierunek marszowy nie po raz pierwszy zagraża przecięciem naszej drogi. Polska, jako Naród, jest już dostatecznie doświadczoną i świadomą tych niebezpieczeństw, aby pozytywna akcja Państwa mogła natrafić na trudności ze strony Narodu. Jednak Polska, jako Państwo „jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli" i to jest źródłem różnych „wątpliwości", jakie co do kierunku marszowego Polski, wyrażają niektórzy jej obywatele, zwłaszcza Narodowi Polskiemu obcy. Skutek nieraz jest podobny jak w znanej opowieści o łabędziu, szczupaku i raku.

Polska, jako Naród, uznaje za swoich członków tylko tych, których świadomość narodowa osiągnęła stopień tak rozbudzonej solidarności, by nawet rozproszeni wśród obcych przybierali instynktownie postawę zasadniczą wobec interesów Polski. „Wątpliwości" wobec jej interesów mają tylko ci, których instynkt narodowy jest niedorozwinięty, przytłumiony różnorodnemi wpływami obcemi lub obarczony serwitutami wobec obcych. Polska, jako Państwo, ma kłopoty z temi „wątpliwościami", albowiem jest „wspólnem dobrem wszystkich obywateli", — Polska, jako Naród, nie może im ulegać, albowiem instynkt samozachowawczy chroni ją przed porzuceniem własnego kierunku marszowego, co musiałoby nastąpić po uwzględnieniu kierunkowych interesów grup obywateli Narodowi Polskiemu obcych — przez wytworzenie jakiejś wspólnej „wypadkowej" tych kierunków. Przed taką „wypadkową" wzdraga się nasz instynkt narodowy. Zresztą — czego nie dostrzega najwyżej drobna garść Polaków, ulegająca wpływom sofizmatów takich czy innych międzynarodówek — nic nie przemawia dziś za porzuceniem kierunku narodowego, — właśnie po odzyskaniu własnej państwowości i właśnie wtedy, gdy inne narody po oczyszczeniu własnych kierunków z obcych wpływów, uzyskały potężne źródło odrodzenia swej siły. Dlatego Naród Polski w swem Państwie chce umożliwić bytowanie tym wszystkim obywatelom, którzy współdziałają, lub conajmniej podporządkowują się lojalnie kierunkowi jego marszu. Przeciwdziałających musi ograniczać, podobnie, jak zdrowy organizm lokalizuje i eliminuje chorobotwórcze bakterje.

Zbyt wybujałe w okresie odbudowywania polskiej państwowości wpływy obce mogą jeszcze dość długo (jeśli nie skoncentrujemy wysiłku) pozostawać wystarczająco wielkie, aby temu czy innemu celowi państwowemu (w znaczeniu „wspólnego dobra wszystkich obywateli") nadawać tak silny akcent, że ich realizacja utrzymywać się będzie na pierwszym planie, mimo, że nawet osiągnięcie tych celów wcale nie tworzy etapów w kierunku marszowym Narodu Polskiego, lecz odwrotnie, jest opóźnieniem marszu przez wepchnięcie do błądzenia na bocznym manowcu lub w tył na drogę już przebytą ongiś. Opóźnienia te są jaskrawo widoczne na odcinku gospodarczym oraz wychowania narodowego, co oczywiście pociąga za sobą osłabienie potencjału militarnego, — nieproporcjonalne do istotnych sił Polski. Znaczenie serwitutów obcych, powodujących te opóźnienia, maleje wprawdzie w sposób dostrzegalny. Jednak decydującym będzie dopiero wzrost pozytywnej akcji narodowej, albowiem ta, nawet słaba, jako jednoimienna (jednokierunkowa) dodaje się do siebie, podczas gdy różnoimienne (różnokierunkowe) wpływy serwitutów obcych znoszą się wzajemnie. Serwituty te stanowiłyby więc zjawisko niegroźne, gdyby nie fakt, że marnują one, bezpowrotnie dla nas, znaczną część przyrostu stanu posiadania narodowego w postaci pracy i surowców oraz, co stąd wypływa, przez zmniejszenie potencjału militarnego — wywołują działanie opóźniające nas w czasie marszu. Dlatego musimy część naszej energji nadal zużywać na ograniczanie obcych wpływów.

Jest oddawna przyjętą taktyką marszową wielkich narodów, wynikającą z konieczności, towarzyszących poruszaniu się wielkich mas w jednym kierunku — marsz w oddzielnych kolumnach po drogach mniej lub więcej równoległych; Polacy oczywiście również tak maszerują. Jeśli obejrzymy się wstecz na ostatnio przebytą drogę — wówczas dostrzeżemy sieć rozmaitych, ale zgodnych co do kierunku dróg, które przebył Naród Polski. Między wygodnym gościńcem, prowadzącym do punktu etapowego, z nazwą Autonomja i uciążliwemi perciami, prowadzącemi do, odleglejszego pozornie, innego punktu etapowego, z nazwą Niepodległość, maszerowały kolumny z różną szybkością, po drogach niejednakowo dogodnych, z postojami mniej lub więcej ponętnemi, — ale kierunku nie zatraciły. Oczywiście kierunkową musiała stać się kolumna, która wyznaczyła sobie i osiągnęła pierwsza etap najodleglejszy. Inne musiały podciągać do etapu Niepodległości forsownymi marszami, po najkrótszych, ale trudnych drogach, aby tylko jaknajprędzej doścignąć wyprzedzających. Uczyniły to — i dzisiaj znów, jak niegdyś, niema zasadniczych wątpliwości co do kierunku; dziś, jak niegdyś, są natomiast zdania podzielone co do wskazywanych celów etapowych.

Front marszowy współczesnego narodu, o szerokości uwarunkowanej stopniem własnego rozwoju oraz udziałem w emulacji międzynarodowej — składa się więc z wielu kolumn maszerujących mniej lub więcej równolegle. Niektóre odcinki tak pojmowanego frontu mogą stawać się szczególnie doniosłe w danym momencie dla bytu całego narodu, powodując na zagrożonym odcinku samoobronne skupianie się pod jednolitem dowództwem — wszystkich maszerujących kolumn. Poza koniecznościami wynikającemi z podobnych niebezpieczeństw (zagrażających bytowi narodu) — skupianie się w jedną kolumnę — monopartję — jest dla wyprzedzających stratą czasu i dlatego Polacy maszerują (i zapewne nadal pomaszerują) w oddzielnych kolumnach, zgodnie ze swojemi wizjami o dogodności najbliższych etapów. Oczywiście, kierunkową stanie się ta kolumna, która wyznaczy sobie i Jutro wyprzedzi inne w osiągnięciu punktu etapowego o tak węzłowem znaczeniu, jakiem Wczoraj było osiągnięcie etapu Niepodległości.

Zagadnienia urbanistyczne

W. A. Zakrzewski

Narodziny kultury urbanistycznej

Gdy mówić chcemy o narodzinach kultury urbanistycznej, w samym postawieniu zagadnienia kryje się całkiem świadome stwierdzenie, że obecnie niema w Polsce tej kultury. Twierdzenie takie zadziwić może w pierwszej chwili niejednego czytelnika, jednakże wątpliwość, czy można tak postawić zagadnienie, rozwiewa się, gdy tylko rozejrzeć się bliżej i w stanie istniejącym, stanie, który dziedziczymy i w przebiegu historycznym tych procesów koncentracji życia zbiorowego w Polsce, które w wyniku stwarzają miasta.

Gdy pragnie się rzucić okiem w przeszłość i odtworzyć sobie dzieje rozwoju miast w Polsce, powiedzmy, szerzej rzecz ujmując, — dzieje kultury urbanistycznej w Polsce, dostrzeże się odrazu z narzucającą się siłą, że sprawa w tak wąskim postawiona zakresie, tysiącznemi nićmi wiąże się z całokształtem losów i dziejów państwa. Można wysunąć stąd wniosek, że samo zagadnienie jest czemś bardzo istotnem w rozwoju Polski; a dalej, że jest istotne i nader aktualne i dzisiaj.

Bo przypatrzmy się tylko: w dziejach Polski spotykamy się odrazu z jednym wielkim wyraźnie zarysowanym okresem, w którym można mówić o ciągłym i świetnym rozwoju miast, o świadomej swych celów kulturze urbanistycznej. Okres ten zapoczątkowany mniej więcej w okresie kolonizacji spustoszonego napadami tatarskiemi kraju wykazuje stałą ciągłość rozwojową przez cztery prawie wieki znajdując swój punkt szczytowy w późnym średniowieczu i na przełomie czasów nowych. Pokrywa się on z okresem największego rozwoju potęgi politycznej państwa, a raczej może nawet nieco go wyprzedza. W każdym zaś razie świadczy o żywotności jego podstaw. Znajdziemy w tym okresie rzecz niezmiernie charakterystyczną. Polska znajduje się wówczas w tej sytuacji, że prawie nie posiada dorobku z czasów poprzednich, dorobku, który nieraz jest wielkiem bogactwem, nieraz jednak kładzie się na rozwoju miast raczej jako hamujący ciężar. Sytuacja ta sprawiła, że Polska mogła podjąć teoretyczny ideał miasta średniowiecznego, że mogła, budując swe miasta prawie od nowa, zbliżyć je niezwykle blisko do tego ideału, wykształconego wprawdzie na Zachodzie, lecz samodzielnie i twórczo przetworzonego i rozwijanego przez nas. Temu to zawdzięczamy, że mamy całą masę średniowiecznych miast większych i mniejszych, zbliżających się do ideału swych czasów bardziej, niż ma to miejsce w innych, bogatszych nieraz i starszych krajach, że niektóre miasta, jak np. Kraków z łańcuchem jego satelitów, stanowią szczytowy i wyjątkowy poprostu wykwit swej epoki.

W późniejszych czasach nić rozwoju karleje i zrywa się wkońcu zupełnie. Dlaczego? Wiecznie niewyczerpana zagadka losów Polski, którą historja może badać z coraz to różnych stron, lecz wobec której zawsze jednakowo pozostajemy bezradni. W każdym razie studjum rozwoju miast (czekające zresztą jeszcze na wyczerpujące opracowanie, choć często, raczej zresztą przygodnie dotykane przez historjografję) pozwoli uwypuklić silniej może, niż jakakolwiek inna strona dziejów, dwa zagadnienia, związane z przyczynami późniejszego upadku. Jedno — wszechstronnie już oświetlone — i na gruncie naszej sprawy występuje niezmiernie ostro. Mianowicie rządy — używając określenia rzuconego na łamach tego pisma przy innej okazji — „kartelu plantatorów zboża" szczególnie nie sprzyjały rozwojowi miast, rozwój ten nawet świadomie hamowały, hamując równocześnie nieświadomie rozwój wielu dziedzin polskiej kultury. Drugie zagadnienie, które dostrzec się daje przy rozpatrywaniu dziejów upadku miast Polski, niedostatecznie jeszcze zbadane, narzuca się jednak z nieodpartą siłą, a wiąże się ze zjawiskiem krzyżowania się na terenie Polski wpływów u r b a n i s t y c z n e j k u l t u r y Z a c h o d u z wręcz odmienną — brak nam przeciwstawnego określenia — k u l t u r ą b e z k r e s n y c h p u s t a c i W s c h o d u. Możnaby powiedzieć, że Polska nie umiała opanować, rozwiązać wielkich problemów, wypływających z tego kardynalnego zjawiska. Możnaby zaryzykować twierdzenie, że naród—szlachta nie dorósłszy do rozwiązania tego problemu, wydał na siebie wyrok upadku. I gdy myśl zatrzymuje się nad tem zagadnieniem, ileż się budzi myśli związanych najściślej z naszem dzisiaj, z problemami, które dziś przed nami stoją!

W każdym razie zerwana nić kultury urbanistycznej w Polsce nie nawiązuje się z powrotem. I stworzona w średniowieczu polska tradycja urbanistyczna ginie bezpowrotnie.

A gdy po dwu wiekach pustki znów natrafimy na przebłyski myśli i świadomej działalności urbanistycznej w końcu XVIII wieku, w jakiż ciekawy, jak znamienny wchodzimy okres! Gdy naród w najprzedziwniejszy sposób budzi się do odrodzeńczego porywu — spóźnionego dla uratowania politycznego bytu jako państwo — mamy wyraźne sygnały tego porywu nie gdzieindziej, jak w dziedzinie świadomego rozwoju miast. Dziwna to chwila! Gasną właśnie wtedy ostatnie zorze chylącej się do grobu epoki w kulturze świata, rodzą się pierwsze błyski epoki nadchodzącej. I w naszej dziedzinie zaczyna się nowa tradycja urbanistyczna, a gdy zaczyna się w blaskach gasnących zórz kończącej się epoki, pierwsze osiągnięcia noszą jej właśnie znamiona. Powstają więc wielkie „reprezentacyjne" koncepcje stanisławowskie, duchem tkwiące jeszcze zupełnie w ginącej epoce. Wielkie założenia reprezentacyjne, po dziś dzień wywierające wpływ fascynujący, gdy miasta, jako żywe organizmy, zaledwie wegetowały w strasznem zaniedbaniu i nędzy. I prosimy zwrócić na to zjawisko uwagę, bo wypadnie nam wrócić do niego przy rozpatrywaniu problemów dzisiejszych — tak wielki wpływ po dziś dzień ma ów błysk narodzin własnej myśli, własnej tradycji. Ale gdy odrodzona praca narodu przetrwa rozbiory, gdy tymczasem stare światy się zawalą i z Wielką Rewolucją i olbrzymim dziełem Napoleona nowe powstaną, znajdziemy żywe odbicie tego w dalszym rozwoju świeżo podjętej nici tradycji urbanistycznej. I mamy jej drugą fazę, która zgodnie z wielką myślą administracyjną, ożywiającą kraj cały w czasach Królestwa Kongresowego, przyniosła szereg nowych rozwiązań, dziś raczej zapomnianych, a dbających więcej o celowo założone targowiska, niż o reprezentacyjne prospekty. Gdy śledzi się za tym rozwojem, gdy widzi się jego gwałtowny koniec w klęsce wojny 1831 r., trudno powstrzymać się od napływu gwałtownego, bezpłodnego żalu: czemby Polska dziś być mogła — przedewszystkiem jeśli chodzi o jej materjalne oblicze — gdyby nam danem było, gdybyśmy umieli wówczas zwyciężyć! Tym razem ostateczna utrata resztek niepodległości przerywa rodzącą się tradycję brutalnie i bez reszty.

Lecz rzecz ciekawa, gdy w XIX wieku nie znajdziemy prawie ani śladu kultury urbanistycznej w Polsce, nie znaczy to tym razem, żeby miasta się nie rozwijały. I gdy rozbudzony nurt życia narodu w najmniej przychylnych warunkach szuka sobie drogi, i gdy świat cały przeżywa wielki okres urbanizacji i uprzemysłowienia, i w Polsce znajdziemy te same procesy. Ale brak niepodległości, ale niemożność swobodnego układania warunków życia zbiorowego zemszczą się w sposób niezmiernie dotkliwy na rozwoju i na obliczu polskich miast. I znów spotykamy się z niezmiernie charakterystycznemi zjawiskami, wypływającemi ze skrzyżowania ogólnych cech epoki z warunkami bytu Polski.

XIX wiek — okres kapitalistycznej na indywidualiźmie opartej kultury w dziejach urbanistyki znaczy się szalonym rozrostem miast, a z drugiej strony, co wypływa z najgłębszych podstaw tej kultury, wytwarza szczególny typ miasta - chaosu, miasta bezpostaciowego, w którem wszystkie funkcje życia są w najstraszliwszy sposób pomieszane, typu, który kiedyś w przyszłości dalszej będzie uchodził za świadectwo barbarzyństwa epoki. I jeśli w narodach o silnej i głębszej tradycji urbanistycznej znajdziemy wielkie wysiłki, by opanować zjawisko wyradzania się miast w koszmarny chaos i znajdziemy wysiłki wprowadzenia w ich rozwój twórczej porządkującej myśli, i jeśli nawet i w Polsce gdzieniegdzie, a zwłaszcza w Poznańskiem i na Pomorzu spotkamy się z podobnemi wysiłkami, to przedewszystkiem znajdziemy w Polsce przeważający osobliwy typ miasta, które krańcowo przed-

stawia wszystkie złe strony epoki, a prawie żadnych dobrych. Ileż przykładów! I ileż naszego własnego życia, tak wypaczonego w tych warunkach, że nie dostrzegamy nawet ich egzotyzmu! I gdy się o tem myśli, nie można zapomnieć nadzwyczajnych przykładów i kontrastowych zestawień, widzianych kiedyś w czasie włóczęg.

Taki Żywiec — Zabłocie! Żywiec — średniowieczne miasteczko, prześliczne i schludne śni snem dostojnym o czasach minionych, o czasach w których myśl triumfowała nad życiem i życie w pomnikowe kształty umiała zakuwać. Obok rzeczka i mostek — i Zabłocie, ze stacją kolejową, browarem i papiernią, kipiące życiem. Zabłocie, o którem tyle tylko można powiedzieć, że nazwa trafnie oddaje jego charakter i wygląd.

To znów Tomaszów Rawski. Miasteczko przemysłowe, założone w drugim dziesiątku XIX w. Na skraju płaskowzgórza nad mokremi łąkami i wijącą się rzeczółką śmiało rzucona szeroka arterja, z nią krzyżuje się druga, u skrzyżowania plac targowy, dalej park publiczny... Ale w dalszym rozwoju miasteczko uciekło w dół, między stawki, błota i młaki, zagubiło się w chaosie fabryk, przędzalń, krętych błotnistych uliczek, najprymitywniejszych domostw, stawianych przez spekulantów na mieszkania robotnicze. Wściekłość w piersiach powstaje, gdy się z góry, z dawnych arteryj patrzy na to bezmyślne kłębowisko.

Wreszcie Warszawa! Miasto, w którem fabryki metalowe leżą obok szpitali, hale targowe sąsiadują z politechniką, miasto, w którem domy otaczają się ze wszystkich stron wysokiemi ślepemi ścianami, uciekając przed słońcem i powietrzem, inne znów wyskakują z linji, zabierając połowę szerokości ulicy. Miasto, w którem jeszcze w 4-ym dziesiątku XX wieku wycina się przepiękny stary park w samym środku miasta pod brzydką i niepotrzebną w tem miejscu budowę, które rozdziera się w samym środku budowa wielkiego portu handlowego! Ale litanję zbyt długo możnaby ciągnąć.

Gdy dochodzimy tak do bilansu, do stanu, z którym mamy do czynienia, wracamy do sprawy tytułu i stwierdzić musimy, że jeśli mamy mówić o kulturze urbanistycznej w Polsce, to jej nam brak, nam wszystkim, to musi się ona narodzić.

I gdy jaskrawość tego stanu przypominamy, gdy on wydaje się niby truizmem dobrze znanym, stwierdzić tu chcemy, że żyjąc nieustannie w środowisku z gruntu wypaczonem, stępieliśmy wszyscy na jego egzotyzm, na jego anachronizm i sami zbudzić się musimy i nowemi oczyma na otoczenie spojrzeć.

I nie chcemy wzywać do jakichś nadludzkich poświęceń i nadludzkich prac. Jeśli wszyscy stwierdzimy, że tak żyć dalej nie można, jeśli jasno zdamy sobie z tego sprawę, łatwo znajdziemy najprostsze i najbardziej celowe rozwiązania i pójdziemy nowemi drogami do innego życia.

I gdy przypominamy wielkie i nędzne, wspaniałe i smutne koleje rozwoju, to stwierdzić pragniemy, że zawsze wtedy, gdyśmy naprawdę chcieli, tośmy potrafili. Tworzyliśmy w dziedzinie budowy miast wielkie dzieła, nawet w najcięższych warunkach.

Od kilku lat widzimy, jak coraz to nowa placówka czyto administracji państwowej, czy samorządu, zmienia swój dotychczasowy stosunek, porzuca stanowisko biernego przyglądania się anarchicznej grze indywidualnych interesów, stara się wytworzyć myśl, porządkującą, i metody wcielenia w życie tej myśli. Widzimy, jak mnożą się głosy w dyskusjach publicznych coraz częstszych i głębszych. Widzimy wreszcie jak szerokie masy mieszkańców niektórych miast, bierne i zrezygnowane do tej pory, śledzą te wysiłki, nie dowierzając jeszcze może zanadto realności pięknych planów, pokazywanych na cieszących się coraz liczniejszą frekwencją wystawach i pokazach, jednak coraz żywiej rozbudzają w sobie wolę poznania, określone pragnienia, może nawet wolę wpływu. Świadczy to o tem, że rodzą się podstawy nowej kultury urbanistycznej w Polsce. Im jaśniej zdamy sobie sprawę ze stanu istniejącego, im jaśniej zdamy sobie sprawę z potrzeb i problemów czekających na rozwiązanie, tem łatwiej przyjdzie odrzucić wszystkie nawyki i przesądy, i znaleźć najprostsze metody wiodące do świetnego rozwoju tem większą i bogatszą stanie się kultura, ku której idziemy.

J. P.

Z polskiego chaosu

Od kilku lat wychodzi w Warszawie mało znany tygodnik p. n. „Jutro Pracy". Do ostatnich wyborów sejmowych pismo starało się — w sposób zresztą niezupełnie szczęśliwy — służyć sprawie ruchu zawodowego pracowników umysłowych — ostatnio ma wyrażać opinje grupki posłów, powołanych przedewszystkiem z pośród biurokracji B. B. W. R., niemających określonych zasad i dążeń, dużo natomiast pozy, dużo pretensjonalności pokrywającej pustkę. Z chaosu rzucanych przez to pismo frazesów, w których nie można się doszukać ani konsekwentnego rozumienia spraw pracowniczych, ani żadnych idei „jutra", w ostatnich numerach „Jutra Pracy" wyłaniać się zaczyna przedewszystkiem uderzanie w ton „nacjonalizmu" w tem znaczeniu, w jakim to pojęcie zostało w Polsce zwulgaryzowane przez rozmaite grupki „narodowe", przeciwstawianie pokolenia młodego pokoleniu starszemu, przy równoczesnem rzucaniu hasła „zjednoczenia" wszystkich sił na miejsce dotychczasowego rozbicia na odłamy polityczne. Obok tych haseł — wyraźne jest przeciwstawienie się najważniejszej dziedzinie wysiłków, prowadzonych przez Rząd — dziedzinie gospodarczo-społecznej.

Nie zajmowalibyśmy się bliżej zagadnieniem tego pisma, jego metodami myślenia i pracami, gdyby nie pewne symptomatyczne znaczenie tych metod, jako wyrazu chaosu, panującego w polskiem życiu społeczno-politycznem, chaosu potęgowanego przez publicystykę naszą w sposób często zgoła nieprawdopodobny.

W „Jutrze Pracy" z dnia 5 lipca r. b. poseł Wacław Budzyński zamieścił artykuł pod jaskrawym tytułem „Bez emocyj, jak orzeł bez skrzydeł", w którym w ostry sposób „ocenia" czteroletni program inwestycyjny Rządu, zarysowany ogólnie w Sejmie przez P. Wicepremjera Kwiatkowskiego. Według p. Budzyńskiego, kwota w której ten program się zamyka 1.800. milj. zł. jest zwykłem podsumowaniem wydatków normalnych na te cele, jest „efektownym balonem" i uważa za przedmiot swojej radości, że z tym planem nie wystąpił premjer Składkowski, którego p. Budzyński jakoby obdarza zaufaniem. P. Poseł Budzyński nie określa na czem opiera swoje pojęcie „normalnych rocznych wydatków", nie stwierdza, że ta suma znacznie przewyższa wydatki w przekroju rocznym, ponoszone na cele inwestycyjne w ostatnich latach, nie stwierdza — o czem dowiedział się w Sejmie, że odmienność programu inwestycyjnego obecnego Rządu w stosunku do poprzednich polega nietylko na zwiększeniu wysiłku finansowego na cele inwestycyjne, co wywołało niepokój w kołach konserwatywnych, ale również na opracowaniu planu prac, które mają być za tę kwotę wykonane, co umożliwi lepsze wykorzystanie dla celów ogólno-państwowych i gospodarczych wydatków inwestycyjnych.

Pan Budzyński o tych okolicznościach nie wie, podobnie jak nie zauważył ostrej nauki, udzielonej przez P. Premjera Składkowskiego innym parlamentarzystom, usiłującym wytwarzać i wygrywać wersje o rzekomej różnicy pomiędzy stanowiskiem Premjera i Wicepremjera obecnego Rządu w stosunku do spraw gospodarczych. Pan Budzyński mało się tem interesuje. I nic dziwnego. Dla p. Budzyńskiego program gospodarczo - społeczny Polski nie przedstawia większego znaczenia. „Rzeczą bowiem najważniejszą jest dla nas nie taki czy inny program gospodarczy, lecz *stabilizacja władzy i organizacja narodu*" (dosłowne — podkreślenia p. B.), przyczem uważa, że stabilizację władzy osiągnięto z ciężkim trudem w 1926 r. oraz, że z tej pozycji niczego nie wolno uronić „pod grozą odpowiedzialności za całość i niepodległość Rzplitej". (Widocznie uważa, że wypad dokonany kilka wierszy wyżej przeciw programowi gospodarczemu Państwa i Rządu jest w zgodzie z zasadą „stabilizacji władzy" i że próba szerzenia zamętu przez fałszywe informacje i oceny nie szkodzi Państwu). Całą uwagę kieruje natomiast na to, co nazywa „organizacją narodu", która powinna — zdaniem p. B. odpowiadać czterem kardynalnym zasadom: 1) duch narodowy, 2) praca organizacyjna, 3) surowość życia i 4) niezależność linji społecznej. Punkt pierwszy określa p. B. w następujący sposób: „W każdem zarządzeniu, na każdym odcinku, wszędzie władza będzie miała na uwadze interes i sprawę narodu. Punkt widzenia nacjonalistyczny. Suwerenność nasza przedewszystkiem, nie zaś żadnej międzynarodówki". Z tego wszystkiego ma wynikać, że musimy iść w kierunku „imperjalizmu wewnętrznego", a inne cele ma-

ją być półcelami, inne metody półśrodkami i paljatywami, „bez emocji, jak orzeł bez skrzydeł". Nie można w tej dziennikarskiej frazeologji znaleźć wyraźnej myśli, szukajmy jej w innych artykułach tej grupy.

„Jutro Pracy" — jak widzieliśmy — ma być wyrazem „nacjonalizmu". Termin, który u nas jest niesłychanie wieloznaczny. Pod flagą tego terminu szermuje od początku istnienia Państwa Polskiego ruch polityczny, o kilku odmianach, ale o przewadze cech destrukcyjno - negatywnych, kilkakrotnie określanych przez „Naród i Państwo" jako przejawy „anarcho-nacjonalizmu".

Zagadnieniom nacjonalizmu w Polsce poświęcimy w najbliższej przyszłości więcej miejsca. Obecnie poprzestaniemy jedynie na podkreśleniu, że każdy żywotny ruch polityczny stawia cele, możliwe do zrealizowania, wynikające z danych i konkretnych warunków i potrzeb. Nazwa ruchów jest pochodną tych celów a ich wartość zależy od zdolności realizacyjnej działań politycznych.

Nacjonalizm polski zrodził się na kilkadziesiąt lat przed wojną, oparł się o podstawy pozytywizmu Spencera, o niektóre poglądy Kanta i miał duże znaczenie pozytywne, jako czynnik spoistości wewnętrznej, pomimo różnic zaborów, jako środek do wzmacniania poczucia wspólnoty narodowej mas ludowych i utrwalenia polskości na terenach mieszanych pod względem narodowym. Jednak już w latach poprzedzających wojnę obóz głoszący hasła nacjonalizmu stał się kierunkiem niezdolnym do zrozumienia dokonywujących się przemian narodowych i konieczności czynnego udziału w walkach o nowy porządek świata a przedewszystkiem w walce o Państwo Polskie. Z tych powodów został wyparty przez ruchu niepodległościowy. Nacjonalizm w Polsce Niepodległej nie umiał postawić ani jednego problemu politycznego, stał się negacją potrzeb i możliwości pracy dla Państwa, przeszedł ostry kryzys i dziś jest prądem bez podstaw teoretycznych, ideowych i bez oparcia o rzeczywistość. Przedewszystkiem nie umiał on wnieść odpowiednich wartości w te dziedziny życia, któreby można określić, jako „narodowe", t. j. w poziom i natężenie polskiej cywilizacji i rozprzestrzenienie jej wpływów. Szermowanie wyrazem „naród" i „narodowy", propagowanie antysemityzmu, podważanie poczucia państwowego w masach i kwestjonowanie wielkiej pozytywnej pracy — stanowiły jego istotę.

„Jutro Pracy" i inne zresztą ośrodki i jednostki, które swoją pustkę ideową próbują dzisiaj zasłonić wyrazem „nacjonalizm", nie nadają temu terminowi odrębnej treści. „Jutro Pracy" poprzestaje jedynie na pojęciu wyrazów „naród", „duch narodowy" i „sprawa narodowa", powtarzaniu o szkodliwem oddziaływaniu żydów w literaturze, w stosunkach gospodarczych i t. d. W tem niema nic nowego. Te cechy widzieliśmy w nacjonalizmie polskim od wielu lat. W tem niema jeszcze pozytywnych wartości, niema wysiłków, aby siły polskie zaktywizować w pracy kulturalnej, aby młodszemu pokoleniu wskazać na konieczność sumiennej i gruntownej pracy, którąby mogła stworzyć warunki dla jej kulturalnej twórczości, odmiennej od potępianej, niema troski o to, aby te objawy polskiej twórczości cywilizacyjnej, jakie istnieją również poza „Wiadomościami Literackiemi" i t. d., uprzystępnić i spopularyzować w masach, niema prób oświetlenia z punktu widzenia polskiej twórczości gospodarczej problemów, związanych z polskim organizmem gospodarczym i z elementem polskim w Państwie. Z prasy nacjonalistycznej, a w wyższym bodajże jeszcze stopniu z organów w rodzaju „Jutra Pracy", otrzymuje się fałszywy obraz stosunków w Polsce, któryby można nazwać pomniejszaniem Narodu. Jesteśmy we własnem państwie, ale — według pojęć „nacjonalistów" polskich — zniedołężniali, niezdolni do walki o lepszą przyszłość, jałowi, nietwórczy w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej, bezradni, zdolni jedynie do alarmów, nastrojeni na ton defensywnej obrony, na wszystkich polach naszego życia. Tak źle nie jest, tylko — panowie „nacjonaliści", prawi spadkobiercy szlachty krzykliwej, wyczerpującej wszystkie siły w walce z innowiercami, nierozumiejącej problemów, jakie życie nasuwa, — my musimy starać się przedewszystkiem o skierowanie naszej energji na tory produktywnej pracy, na tory nietylko „unarodowienia" ale i pogłębienia zjawisk kulturalno-narodowych. Przejęcie doktryny nacjonalizmu nie wystarcza. Mózg wypełniony doktryną niezawsze przestaje być pusty.

Lecz „Jutro Pracy" pragnie być również wyrazicielem ruchu młodego pokolenia. W n-rze z dnia 12 lipca b. r. zamieściło ono artykuł p. Szymona Machowskiego, p. t. „Człowiek, który ma 30 lat". W artykule tym autor wyraża pogląd, iż starsi nie mogą się zdecydować, są zmęczeni po ciężkiem i burzliwem życiu, pragną chwili „spokoju", i że zastąpić ich powinni młodzi, wydziedziczeni, pełni energji i gotowości ofiarnej służby. W tym samym numerze zamieszczono artykulik z wezwaniem do jednoczenia się, palenia „kukieł sanacji, endecji, P. P. S., Piasta, Partji Pracy i t. d.".

Problem wchłonięcia przez warsztaty pracy młodego pokolenia, jest — jak wiadomo — problemem niesłychanej wagi. Sprawie tej już poświęciliśmy parokrotnie miejsce w „Narodzie i Państwie" i do tej sprawy jeszcze nieraz wrócimy.

Proces przesuwania się odpowiedzialnych i kierowniczych pozycyj w życiu polskiem odbywa się w naszych oczach na wielu odcinkach i w wielu wypadkach z dużą korzyścią ogólną. Proces ten powinien być starannie przygotowany, w ramach ogólnych planów i możliwości. Lecz równocześnie trzeba pamiętać, że nie jest to sprawa mechanicznego przesunięcia. Zmiana pokoleń, to nie jest sprawa tylko „posad", ale i odpowiedzialności.

„Jutro Pracy" idzie jednak dalej. Wyobraża sobie, że można przekreślić z miejsca całą przeszłość ideowo-polityczną ruchów i haseł i na to miejsce stworzyć nowy ruch, oparty wyłącznie na mechanicznem haśle „zjednoczenia". Gdyby takie przemiany działy się na zawołanie, już mielibyśmy ten „postulat" dawno spełniony. Lecz nie są to rzeczy tak proste. Zamierzenia Marsz. Józefa Piłsudskiego w początkach istnienia Państwa Polskiego poszły w kierunku koncentracji sił dla nowych zadań, jakie stanęły po wielkim przewrocie 1918 r. i... okazały się niemożliwe do urzeczywistnienia. Wielki umysł, który pokonywał w czasie swego bohaterskiego życia olbrzymie przeszkody, łamał je swoją żelazną wolą, siłą działania, uczucia i myśli, tych przeszkód, jakie tkwią w ludzkich duszach, złamać nie mógł. W rezultacie stworzył nowe warunki rozwoju Państwa dopiero wtedy, kiedy stał się samotnym.

Nie potrafimy tego zadania wykonać również obecnie i my, zwłaszcza, jeśli ponowimy próby podejścia do tego zadania tylko przez negację istniejących ruchów społeczno - politycznych. Możemy natomiast zmierzać do koncentracji sił, do „zjednoczenia" przez usilną pracę, przez usuwanie oporów psychicznych i przedewszystkiem przez wyszukiwanie i wskazywanie wyraźnych celów, wyraźnych haseł, określonych założeń wspólnej publicznej pracy dla przyszłości.

Narada działaczy społecznych m. st. Łodzi

W dniu 25 lipca r. b. w lokalu „Polskiego Frontu" przy ul. Cegielnianej 82, o godz. 19 wieczorem, w obecności 138 zaproszonych przedstawicieli poszczególnych organizacyj i placówek społecznych m. st. Łodzi odbyło się zebranie, mające na celu ukonstytuowanie się miejscowej Rady Działaczy Społecznych.

Zebranie zagaił członek Centralnej Rady Działaczy Społecznych w Warszawie, p. Marcinkowski, podając w krótkiem przemówieniu do wiadomości zebranych przebieg i uchwały Centralnej Narady Działaczy Społecznych z całej Polski, która odbyła się w Warszawie w dniu 14 czerwca r. b. Na przewodniczącego zebrania p. Marcinkowski zaproponował p. mec. Osieckiego, co zostało jednomyślnie przez zebranych zaakceptowane. Do prezydjum powołano w dalszym ciągu pp. Chmielewską, Folta, Kralkowskiego i Piasecznego oraz na sekretarza p. Madońskiego.

Referat zasadniczy z ramienia Centralnej Rady Działaczy Społecznych wygłosił p. Melchjor Wańkowicz z Warszawy, przedstawiając w dłuższem przemówieniu stan ścierających się na terenie Polski sił i koncepcyj oraz stwierdzając, że najistotniejszą groźbę dla przyszłości Polski stanowi przedewszystkiem obojętność i apatja społeczeństwa, która musi być przełamana.

W dyskusji zabierali głos pp. Marciniak, Hałaj, Samarzewski, Madej, Dolka, Tybura, Włodarski, Kowalski, Sznajder, Piątkowski. W wyniku tej dyskusji postanowiono przyłączyć się do uchwał Centralnej Narady Działaczy Społecznych z dn. 14 czerwca r. b. oraz powołać na terenie st. m. Łodzi miejscową Radę Działaczy Społecznych, której zadaniem byłoby, między innemi, współdziałanie przy tworzeniu jednolitej organizacji społeczeństwa w myśl zasad rzuconych na Zjeździe Legjonistów przez Naczelnego Wodza gen. Edwarda Rydza-Śmigłego.

W wyniku dyskusji organizacyjnej i wyborów Radę tę w liczbie członków 15 osób powołano w następującym składzie imiennym: Stanisława Bernatowiczowa, Zofja Chmielewska, Edmund Kadyński, Roman Kasprzak, Edmund Kralkowski, Stefan Krzesiński, Stanisław Madej, Józef Marcinkowski, Antoni Mikuta, Józef Osiecki, Józef Pawlak, Karol Samarzewski, Józef Sikorski, Radzisław Wodziński, Włodzimierz Wolski.

Następnie przewodniczący Narady odczytał teksty proponowanych depesz do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Wodza Naczelnego Gen. Rydza-Śmigłego, Pana Premjera Gen. Sławoj-Składkowskiego oraz Sen. Piotra Olewińskiego, przewodniczącego Centralnej Rady Działaczy Społecznych.

Wspomnienia z lat dziejowego przełomu

Melchior Wańkowicz

„Związek Broni"

IV.

Ale przy tym narwanym komendancie równocześnie pełniła się twarda służba, którą nadewszystko cenił Wilk. Patrzył swemi chłopskiemi zimnemi oczami z pod blond czupryny strzyżonej na jeża, marszczył niskie czoło i usiłował zrozumieć ten styl sobie nieznany. Zwolna przenikało go ciepło rzeczy nowych, wojska, które przecież było takie inne, a jednak było wojskiem i wojskiem dobrem. Wilk milczał i nic nie zrobił się miększy w dotknięciu. Ale wodził za komendantem oczami i można było polegać na nim z całą pewnością.

Drugi wachmistrz, Pająk, był inny. Chłop z Opoczyńskiego. Żądny oświaty, własną pracą doszedł do pięknego ortograficznego pisma i stylu bez zarzutu. Natura miękka, słowiańska, gdy przyszedł do Korpusu, cztery lata potyrał się na froncie. A ponieważ, gdy wojna się zaczęła, właśnie kończył służbę wojskową czteroletnią, więc zdążył w klubach ośmioletniego soldactwa zmarznąć i stężeć w sobie. Z tym biedy nie było. Chłonął blask, bijący z młodości i entuzjazmu Malagowskiego, życzliwość towarzyszy broni, emfazę barw narodowych, orłów i własnej komendy. Jako związkowiec — był duszą organizacji. Kiedy z nakazu Malagowskiego Związek Broni uwziął się ujawnić afery pieniężne, które popełniał pewien oficer w dywizji, Pająk obstawił śledztwo, wziął na siebie cały ciężar ryzyka, które doprowadziło do aresztowania oficera przez związkowców bez rozkazu władz wojskowych. Na szczęście oficer uwierzył w legalność aresztu, ugiął się i przyznał się. Pająk, chłop z Opoczyńskiego, tłamszony osiem lat przez soldateskę, grał tu grubę grę. Grać potrafił również grę o życie. Pod Krasnym Brzegiem, gdy atakował naszą żałosną parodję pociągu pancernego świetnie zestawiony pociąg pancerny bolszewicki, przed którym należało wysadzić tor i sznur Bickforda zamókł, Pająk skoczył po głownię do budki dróżnika. Niósł ją w golej dłoni, a tu już bolszewicka pancerka szła i strzelała z karabinów maszynowych. Pod wachlarzem seryj Pająk wysadził most, ale kurował się potem kilka tygodni w szpitalu.

Czy mam mówić o innych żołnierzach pancerki? Wrócę do nich w toku opowiadania. O tych tu mówiłem, aby pokazać, jak ziszczał się w praktyce nasz rachunek, że wojsko zmontują nam pierwsze strzały. Ale była to walka bezideowa, obronna. Kiedy będziemy strzelać do Niemców?

Jakoś nie zanosiło się na to. Przeciwnie, coraz nam goręcej było w walce z bolszewikami. Oficerstwo wyższe, ziemiaństwo poczynało wzdychać do przyjścia Niemców. Mróz nam szedł po kościach. Co wówczas się stanie?

W Mińsku obłudne kondominjum polsko-bolszewickie się skończyło. Bolszewicy poczęli rekwirować zapasy w polskiej stołówce „Ignatycze", interwenjował nasz szwadron, bolszewicy zatoczyli karabiny maszynowe i nasze dwa szwadrony będące ochroną sztabu musiały wraz ze sztabem się wycofać do Dukory, gdzie stał pułk Krechowieckich ułanów. Znikły mundury polskie z ulicy. Ale równocześnie niepowstrzymanie napływała fala rozbitków z polskich oddziałów, dążących torami kolejowemi do Bobrujska i rozbijanych przez bolszewików po drodze. Koło Polek przestało piec smaczne placki. Na rozkaz Związku Broni wyłoniono z niego Pogotowie Wojskowe, do którego weszło i T. P. Ż. P. Po różnych punktach miasta wynajdywano kwatery, w których rozbitkowie znajdowali przytułek i posiłek. Kobiety spisywały ich w dziesiątki, na czele których stawiały dziesiętników. Potem byli setnicy. Pamiętam przed samym wybuchem, o którym zaraz będę mówił, notatnik na biurku żony, przewiązany, niby saszet z bielizną, niebieską wstążeczką. W tym notatniku było 1600 nazwisk — szesnaście setek.

Równocześnie Związek Broni uruchamia dwa lotne oddziały bojowe. Są one nieumundurowane, bo działają z Mińska, który jest pod okupacją. Oddziały te przeważnie wysadzają tory kolejowe, opóźniając wysyłkę wojsk bolszewickich na „front polski", jak go nazywały komunikaty bolszewickie z placu boju.

Finansowo kasie organizacyjnej robi się lżej. Mamy pieniądze od misji wojskowej francuskiej.

W Bobrujsku skoncentrowały się poważne siły polskie, ale bardzo osaczone. Siedząc na tyłach, widzieliśmy, że z niezmierzonej Rosji szły resursy bez końca, podczas, gdy Bobrujsk był osaczony tak, że nie mógł już liczyć na dopełnianie kadrów.

W Bobrujsku z komendy Związku Broni był Lechnicki. Przysłał związkowca Kobylańskiego, który następnie poległ, rażony w ataku kulą w czoło. Kobylański w przebraniu się przekradł i zdał relację. Zebraliśmy z Hubickim Związek Broni. Rozumieliśmy, że każdy człowiek z wolą i świadomością w obecnej chwili dla korpusu, to jakby oddział wojska. Spraw takich nie można było załatwiać rozkazem, bo stawka była o życie. Wtedy jedna z kobiet powiedziała: „Nasz obowiązek tam. Trzeba przedrzeć się i zrobić z Bobrujska Częstochowę". Kobylański otrzymał polecenie wracać natychmiast z wiadomością, że wyślemy związkowców, ile się da. Jednak część nas miała zostać ze względu na te siły zorganizowane konspiracyjnie w Mińsku.

Miałem wyjechać następnego dnia w towarzystwie Ziemiomysła Zaborskiego, przezywanego przez nas Ziomkiem. Ziomek odznaczał się niebywałą flegmą i tem, że nigdy nic nie gadał. Tylko gdziekolwiek cokolwiek się zdarzyło, brał czapkę i szedł pierwszy.

Mieliśmy papiery na imię jeńców austryjackich, wracających do domu, a więc jadących ku frontowi. Zdobyliśmy niekute sanie i parę doskonałych koni. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy broń wziąć, w owych czasach bowiem dwuch zdecydowanych ludzi, strzelających nie leniwie i mających dobre konie rozporządzać mogło dużemi szansami.

Na drugi dzień zwlekł się nam wyjazd do południa. W południe poczęły dużemi masami napływać z „polskiego frontu" wojska bolszewickie. Okazało się, że front niemiecki drgnął i ruszył na Mińsk.

Natychmiast zmobilizowaliśmy owych tysiąc sześćset żołnierzy. Ale nie mieli broni. Komendę nad akcją objął Matuszewski, posiadający rangę sztabskapitana. Zastępcą jego został Hubicki.

Zdobycie broni powierzyliśmy jednemu z owych naszych lotnych konspiracyjnych oddziałów, który operował pod dowództwem mego brata Witolda. Siedliśmy do tego auta uzbrojeni jak Bóg da. Ja np. miałem dwulufowy sztucerek Kruppa z którym brat polował w Afryce. Była to leciutka, jak dziecinna strzelbinka i świetnie precezyjna broń.

Na ustronnej ulicy Mińska wznosił się ogromny arsenał wojskowy Frontu Zachodniego. Przed gmachem z czerwonej cegły stała budka, a przed nią wartownik w kożuchu. Na białym sznurku na szyi miał gwizdawkę. Szarpnąłem za nią, a równocześnie któryś z żołnierzy wyrwał mu karabin. Ściskając w ręku zdobytą świstawkę uczułem się podniesiony na duchu; pędziliśmy szerokiemi schodami na pierwsze piętro, gdzie jakoby miał być zarządca arsenału. Wyszedł ku nam ze świeczką w ręku (widać elektryczność nie działała). Powiedział, że on nic nie wie, że wszystko zależy od komisarza i sprytnie się ulotnił.

Komisarz był żyd w swojej typowej skórzanej kurcie. Było to w kilka dni po zabiciu Zdzisia Zabłockiego. Pamiętam uczucie, jakie mną targnęło, aby go ustrzelić. Wstydziłem się widać głosu, który we mnie krzyczał: „Za Zabłockiego" i usiłowałem sobie wytłomaczyć, że nie chcę go zabić z zemsty, a z konieczności, że nie wiadomo, ilu ich tu jest, że nas jest kilkunastu i należy bolszewików steroryzować. Ale zabójstwo było zbyt łatwe. Powiedziałem „odprowadźcie go i pilnujcie". Pamiętam, że odrazu zdumiał i ręce włożył w kieszenie. Stałem przez chwilę, bezsilnie przeżuwając wściekłość.

Tymczasem oddział brata znosił naręcze karabinów ręcznych i maszynowych. Brat z pierwszym transportem i częścią ludzi wyruszył do komendantury. Nad pozostałymi pięciu objąłem komendę. W arsenale okazało się, przeszło 50.000 ręcznych karabinów i kilkaset karabinów maszynowych.

Kiedy poszedłem postawić wartę na dole, usłyszeliśmy skrzyp wozów. To ciągnął ulicą nieskończony tren żywnościowy; bolszewicy wobec zbliżania się Niemców ewakuowali Mińsk.

Zastąpiliśmy we dwójkę drogę pierwszemu wozowi:

— Slezaj...

Brodacz posłusznie zlazł z wozu. Toż samo woźnice następnych podwód.

— Marsz na stację kolejową. Tam są wasi. Śpieszcie, bo jeszcze was zostawią.

— Towariszcz — podnoszą się błagalne głosy — daj na drogę konserwów.

— Dobra!...

I nocy tej wyfasowaliśmy hojne deputaty cofającej się „z polskiego frontu" bolszewickiej armji. Pozostaliśmy sami, ja i wartownik, z temi stłoczonemi wozami, z licznemi końmi, których nawet nie znaliśmy liczby, wokoło stały piekielne ciemności. To tu, to tam, gdzieś zdaleka z różnych stron rozlegała się strzelanina. Najbliższe zaułki tonęły w milczeniu i napięta uwaga kazała nasłuchiwać, czy nie nasuwa się atak. Ale niebawem dosłano mi dwudziestu ludzi.

Całą noc zajeżdżały auta i nasi chłopcy wynosili naręcze broni. Gdy rozbłysł ranek, miasto było pełne uzbrojonego i umundurowanego(!) żołnierza polskiego.

Ale wszak miasto było równie pełne bolszewików. Liczebność oddziałów konsystujących w Mińsku wynosiła 15.000, nadto dwa eszelony na torze. Obecnie to wszystko zostało zepchnięte na dworzec. Słychać było, że dowódca frontu, Miasnikow, podąża z wojskami, aby ukorzyć zbuntowany Mińsk. Lada chwila stłoczona na dworcu masa mogła oprzytomnieć i wylać się na miasto.

Wówczas związkowiec Mosiewicz przebiera się za pruskiego oberlejtenanta, Ziomek Zaborski, którego straciłem z oczu, wypływa, nic nie gadając, przebrany za niemieckiego podoficera — tłomacza, dwaj skauci przebierają się za niemieckich żołnierzy i wszystko to pełnym motorem pędzi na dworzec.

Nasze patrole otwierają szeroko oczy, jeden z nich nawet strzela. Auto wrzyna się w tłum bolszewicki. Oberlejtnant przez tłomacza oznajmia, że jest delegowany przez dowództwo 83 Dywizji niemieckiej z oznajmieniem, że jeśli w ciągu trzech godzin bolszewicy nie ewakuują Mińska, dworzec zostanie obrócony w perzynę.

Jakiś komisarz żyd zwrócił się po niemiecku:

— *Aber excellenz, wie konnen wir ohne Züge laufen?*

— *S'ist mir ganz egal* — brzmiała odpowiedź Mosiewicza — *Konnen die Kerle zu Fuss laufen.*

I istotnie — traktem na Bobrujsk pociągnęły wielkie masy bolszewickie. W południe wjechała kawalerja niemiecka, którą prowadził hr. York. Asystował jej oddział czterdziestu naszych żółtych ułanów, którzy pod bolszewikami za sprawą swego wodza pułkownika Wysockiego, mieli przygotowane uniformy i konie.

Kapitan Matuszewski, jak zwykle, zachował się z fasonem. Przyjął Niemców słowami, że jako podkomendny gen. Dowbora, na jego rozkaz nie przyjmuje ich z bronią w ręku.

Ale przecież nie mamy wątpliwości, że Dowbor pójdzie na ugodę. Istotnie, cóż można było robić, skoro mieliśmy stan wojny z bolszewikami. Walczyć na dwa fronty? Z Korpusem, w którym właściwie walczyły oddziały ochotnicze? Należało się zewrzeć w sobie, odgrodzić od Niemców i szybko się dociągnąć do stanu psychicznego, umożliwiającego walkę z nimi. Tak, jak przedtem czekaliśmy na pierwsze strzały, tak teraz liczymy na pierwsze wieści z kraju: będzie to najlepsza antyniemiecka propaganda.

Należy szybko działać, aby nowotworzącej się formie odrazu nadać styl. Tak jakoś ułożyło się niepisanem prawem, że Lechnicki prowadził sprawy wojskowe, Hubicki zagraniczne (stosunki), ja wewnętrzne. Teraz więc Hubicki zostaje w Mińsku, a ja jadę do Bobrujska. Zaraz więc świtaniem tejże nocy jadę na dworzec dowiedzieć się, czy i kiedy zostanie nawiązana łączność.

Na dworcu już się kręcą jeźdźcy z t. zw. Dzikiej Dywizji. Ich dowódca eks-sierżant Ikajew, przeszedł w czasie walk polsko-bolszewickich w osiemset koni (jakich koni!) do Polaków. Mają w uszach kolczyki, noszą czerkieski, papachy i ogromne kindżały. Uśmiechają się do „sprzymierzeńca" i klepią mnie po ramionach. Pytam Ikajewa, jak się czuł w minionych walkach. Bardzo sobie chwali walkę pod Jasieniem, bo zgwałcił dwunastoletnią żydówkę, wpadłszy do miasteczka. Cmoka z zachwytem, podnosząc do mnie małe skośne oczki.

Niemcy zainstalowali się dopiero na drugi dzień. Gdy po dworcu jeszcze pętali się dzicy jeźdźcy, w komendanturze stacyjnej już rozłożył cetelki niemiecki podoficer.

— *Sie sind ein Freiwilliger also?* — zakwalifikował sobie i wydał bilet dla mnie i dla żony.

Tak oto, z pomiędzy Azji i Nadrenji, wypłynął nasz pierwszy pociąg, idący do Bobrujska. Jechaliśmy przez pola, zagubione w śnieżnej ośmie brzóz; krzywe, czarne płotki podchodziły do toru; ozierody sterczały na stalowem niebie sękatym kośćcem. Jechaliśmy krajem ojców, który zbuntował się nową prawdą. W Bobrujsku siedziała amarantowa, bezczelna, krzykliwa, przeciągająca z koroniarska okupacja. Gdzież wielkość, która tę powłokę koroniarską rozwali, gdzież duch nieśmiertelny Rzeczypospolitej, któryby na skrzydła wziął te nasze poczynania? Jakiż modus współżycia ułoży się na tej ziemi? Czy Niemcy będą łaskawymi obrońcami ludności wobec nas?

Gorzko było jechać w te dni „zwycięstwa" Mińskiego do Bobrujska, zostawiając za sobą rozradowane twarze wszystkich dziedziców, wszystkich krewniaków i oficerów „pańskiego" wojska. W południe, kiedy już Niemcy objęli miasto, spotkaliśmy się z niedoszłym towarzyszem podróży Ziomkiem Zaborskim przed bramą jego oddziału radjotelegraficznego, w którym Zaborski był żołnierzem. Na bramie wisiał napis w języku niemieckim, wyszczególniający nazwę oddziału.

Chwyciłem ołówek i napisałem przez ten napis:

Trza na to wielkiego bydła
By włazić Niemcom bez mydła.

Melchior Wańkowicz
Zacharzewski Zaułek 8

Flegmatyczny Ziomek nic nie rzekł, ale dopisał: „Ziemomysł Zaborski, szeregowiec niniejszego oddziału".

Do Bobrujska przyjechaliśmy wieczorem, zatrzymaliśmy się u Małagowskiego. Trzeba było śpieszyć, aby zdążyć na zebranie oficerskie, odbywające się w sali garnizonowej. Zebranie nazywało się „informacyjne" ze względu na dyscyplinę i odbywało się w obecności pułkownika Malewicza, o ile mi się zdaje komendanta garnizonu. Lechnicki już tam był, zebranie bowiem odbywało się z inicjatywy Związku. Z inicjatywy Związku uprzednio grupa oficerów (czytaj: związkowcy) wystąpiła do gen. Dowbora z memorjałem, w którym prosiła go o wydzielenie odpowiednich zapasów i uzbrojenia formującemu się oddziałowi, który miał wyruszyć na wschód, i albo uzyskać porozumienie z bolszewikami albo przebijać się partyzantką do Czechosłowaków. Generał się wściekał. „Wezwał mnie" — opowiadał Małagowski — „z zapytaniem co znaczy ten podpis. Podpis dano bezemnie, bo byłem na froncie. Ale domyśliłem się, że to tylko Związek mógł mnie podpisać. Więc mówię, że podpis położono zgodnie z moją wolą. Generał pyta, czy znam treść memorjału. Nie mogłem mówić, że znam, bo zacząłby dyskutować i wsypałbym się. Mówię, że nie znam. Generał zachodzi w głowę, jak można podpisać coś, czego się nie czytało. Odpowiadam, że przyjaciele podpisali, a ja im wierzę. Powiedział, że nie uważa sprawy za skończoną".

W kasynie garnizonowem — głowa przy głowie. Już się zaczęły obrady. Lechnicki daje mi głos poza kolejką pod pozorem, że przywożę wieści z Mińska. Mówię o sytuacji, o sensie naszego istnienia, o odpowiedzialności za mundur, który mamy nosić, o różnicy między żołnierzem, który słucha każdej władzy i legjonistą, który musi nosić sumienie w tornistrze. Te sumienie każe nam trwać z bronią w ręku. Musimy sobie przysiąc, że nie damy Niemcom tej broni sobie wydrzeć.

Grzmot oklasków. Uchwała jednomyślna. Pułk. Malewicz powstaje z miejsca i wzruszonym głosem obiecuje, że zameldu je nastrój pp. oficerów generałowi.

Idziemy spać do mieszkania Małagowskiego, podczas gdy on wraca do siebie na pancerkę, stojącą na dworcu Bobrujskim. Nad ranem przybiega wzburzony:

— Wysadzam pancerkę. Ruszamy za Dniepr!

Świtaniem zajechał na dworzec Bobrujski eszelon niemiecki. Żołnierze z tego eszelonu zaczęli bobrować po torach.

Na warcie przy pancerce „Związek Broni" stał olbrzym Kępa. Słuchy chodziły, że w kraju „za ruskiego" lubiał robotę „na mokro". Teraz Kępa dostąpił zaszczytu złożenia ślubowania w Związku Broni i żarzył się gorliwością prozelity.

Kiedy zobaczył przed sobą niemiecki hełm, krew mu uderzyła do głowy. Ogromnymi łapskami złapał Niemcowi karabin, poczem schwytał go w pół, uniósł w górę i trzasnął o beton peronu. Zrobił się gwałt, zbiegli się Niemcy. Wypadł z pancerki komendant w płaszczu, narzuconym na bieliznę, ze szpicrutą w ręku. Za nim biegli jego żołnierze z pochylonymi bagnetami. Małagowski pokazywał swoje szlify (nie wiem czy jeszcze „portugal") i nie salutujących Niemców, którzy nie wiedzieli o co chodzi, walił przez pysk szpicrutą. Potem wlazło bractwo za te swoje woreczki z piaskiem, a stary Dreczkowski począł gęsto puszczać parę. Rozbudzono Dowbora, który wezwał Małagowskiego przed swe oblicze.

Teraz więc Stasiek wpadł na kwaterę, ściął z munduru wstążeczkę, otrzymaną od dowództwa korpusu za waleczność i popędził z postanowieniem odmeldowania się i ruszania ze swemi „konnemi saperami pancernemi" za Dniepr, do bolszewików, do których jeszcze przedwczoraj strzelał.

Rozmowa narazie zabaczyła się. Rozirytowany Dowbor spytał:

— Więc kto właściwie jest dowódcą pana porucznika. Ja, czy Piłsudski?

— Piłsudski przez pana generała — odpowiedział Stasiek.

Dowbor jednak postarał się załagodzić. Chwalił Małagowskiego jako bojowego oficera, obiecywał, że będzie Niemców bił, prosił, aby mu sytuacji nie utrudniać i pozostawił na dowództwie pancerki, biorąc na siebie załagodzenie konfliktu.

Praca, którą rozpoczęliśmy w Korpusie znajduje swój wyraz w opowiadaniu „Noc z 21 na 22 maja".

Dążymy za wszelką cenę do związania się z krajem. Pierwszy oficer legjonowy, który przyjechał, to porucznik Korkozowicz. Wieziemy go na pancerkę „Związek Broni". Uszczęśliwiony Małagowski ustawia załogę na baczność, wygłasza przemówienie i każe prezentować broń. Następnie, ze zwykłą sobie fantazją, wyrwawszy gdzieś wcale szykowny powóz i naciągnąwszy białe rękawiczki, wiezie oficera legjonowego na ucztę, która jest ucztą nielada, bo to właśnie 19 marca. Za Korkozowiczem przyjeżdża równie upragniony gość — antałek „komendanckiej" starki.

Na honorowem miejscu stoją trzy fotele majone zielenią. Na tym po prawej siada jeden solenizant, ordynans komendanta Ocipka. Na środkowem nie siada nikt. Spłoszone „kolki polki" Robaczewskie (M. A. Nowakowski i tu już zdążył się zakręcić, a jakże...) uwijają się koło jadła.

Komendant pociągu ma już nieco w czubie. Wstaje, by wygłosić toast. Jeden z tych, co to, jak powiedział jeden z junkrów, „nigdy nie wiadomo, czy po nim pocałuje, czy może strzeli w mordę".

(D. n.).

NOTATNIK POLITYCZNY

Hiszpanja

O samej sytuacji trudno jest pisać cośkolwiek. Pewne jest jedno, że żadna ze stron nie ma sytuacji wygodnej w walce, że żadna ze stron nie będzie miała sytuacji wygodnej w rządzeniu po zwycięstwie nad swymi przeciwnikami.

A równocześnie pewne jest, że sprawa ukształtowania się sytuacji w Hiszpanji nie będzie dla nikogo w Europie obojętna. Stąd też liczyć się trzeba z faktem, że przez długi czas trwać będzie ukryta wojna wpływów, intryg i cichej pomocy postronnej dla obu frontów walczących w czasie wojny domowej, przeciwko frontowi zwycięskiemu po zwycięstwie. Długo nieobecny w historji Europy półwysep Pirenejski może obecnie na czas dłuższy stać się nowym Balkanem, to jest terenem, którego historja jest do pewnego stopnia zlewiskiem obcych sił, obcych środków i obcych wpływów.

Z punktu widzenia polskiego moglibyśmy uważać zjawisko to za nieinteresujące nas bezpośrednio, gdyby nie fakt, że współzależność zjawisk jest w dzisiejszej Europie niesłychanie daleko posunięta.

A równocześnie wpadki hiszpańskie są wyrazem i drugiej cechy współczesnego układu stosunków europejskich, to jest wyjątkowo silnego oddziaływania dziedziny stosunków społeczno - ustrojowych na posunięcia i stanowiska polityczne państw i narodów.

Wszystko to z natury rzeczy musi wywoływać dużą ostrożność w ocenie wypadków hiszpańskich, lecz i dużą ostrożność w ich bagatelizowaniu. W każdym razie już tylko ten fragment sytuacji europejskiej wystarcza do tego, aby pokrzyżować spokój wakacyjny świata dyplomatycznego Europy. A przecież Hiszpanja nie jest jedynym punktem kłopotliwym. Wiemy o tem z własnego doświadczenia i z bezpośredniego sąsiedztwa. Stąd też w dzisiejszych warunkach ważne jest, aby ze wszystkich prawd i przypowieści ewangelicznych przedewszystkiem stale mieć w myśli tę, która mówi o potrzebie czuwania.

Sierpień

Sierpień jest wogóle miesiącem wybitnie kanikularnym. Jednakże w roku bieżącym w Polsce ta kanikularność zdaje się być pod pewnym znakiem zapytania.

Jedynie ze strony Związku Legjonistów, a więc czynnika, który zawsze do sierpnia przywiązywał szczególną wagę, widzimy w tym roku pewną szczególną wakacyjność usposobienia. Możnaby powiedzieć, że Związek Legjonistów byłby skłonny przyjąć do wiadomości pewne przesunięcie kalendarzowe, polegające na przeniesieniu tegorocznego sierpnia, bez reszty i bez zastrzeżeń, na inne, lepsze lata.

Jednakże za tym przykładem nikt nie poszedł. Wręcz odwrotnie, w tym roku szczególnie ostro i wyraźnie przypomniano sobie, że przecież przed 16 laty była w dniu 15 sierpnia decydująca bitwa pod Warszawą. Jakgdyby szesnastka miała w sobie cudowne i specjalne właściwości, przygotowują się w tym roku wyjątkowo szumne i liczne obchody tej rocznicy.

Na czele przygotowań idzie Stronnictwo Ludowe. Zapowiada ono niezmiernie intensywne obchody, które odbywać się będą, oczywiście, pod auspicjami nazwiska Wincentego Witosa. Równie intensywnie występuje Stronnictwo Narodowe, które znowu niejako pragnie dla siebie zarezerwować monopol na reprezentację wszystkich poległych, każąc im z mogił bitewnych przemawiać (w odezwach wydawanych z racji rocznicy) wezwaniami jednoczenia się pod hasłami i sztandarami stronnictwa.

W tych warunkach należy się istotnie obawiać jednego. Czy w dniu 15 sierpnia r. b. nie zapomni się w Polsce, że zwycięstwo, znane pod nazwą rzekomego „cudu nad Wisłą", a będące rozstrzygnięciem jednej z najbardziej decydujących w dziejach bitwy, łączyło się przedewszystkiem z jednym nazwiskiem i jedną postacią: z nazwiskiem i osobą Józefa Piłsudskiego.

Gdańsk

Po dniach burzliwych nadchodzą dnie jakgdyby uspokojenia. Rząd niemiecki udzielił jakiejś odpowiedzi w sprawie wizyty w Gdańsku krążownika „Leipzig" i wynikłej przy tej okazji obrazy Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, pan Prezydent Greiser ze swej strony zapewnia o dobrej woli w stosunku do Polski, o szczerej przyjaźni i chęci utrzymania tej przyjaźni na przyszłość.

Nie wiemy jeszcze, jakie będą skutki ostateczne tych sielankowych oświadczeń. Obawiamy się, że mogą one spowodować właśnie ten stan, że żadnych skutków nie będzie. Burza przejdzie, mówiąc po wiejsku, stronami.

Tego rodzaju załatwienie sprawy, szczególnie przy utrzymaniu tezy, że władze Wolnego Miasta mogą we własnym zakresie gnębić miejscową ludność niemiecką i przeprowadzać przymusowe jej hitleryzowanie — musiałoby być uznane za niewątpliwe zwycięstwo władz Wolnego Miasta. Gdańskowi nikt w Polsce źle nie życzy i życzyć nie powinien. Jednakże w stosunkach polsko-gdańskich powinna być przestrzegana jedna katechizmowa zasada, to jest przekonanie, że czyny dobre nie pozostają bez dobrych następstw, czyny złe — a zachowanie się Gdańska w ostatnich miesiącach do takich zaliczyć bezwarunkowo należy — pociągają za sobą skutki ujemne.

Gdyby i w tym wypadku zasada ta nie była w stosunku do Gdańska przestrzegana i zastosowana, boimy się, że miałoby to zły wpływ na moralność polityczną dzisiejszych władz Wolnego Miasta. I wtedy — spodziewać się należy — musielibyśmy się w Polsce znaleźć ludzie, którzyby w stosunku do sprawy Gdańska przejawiali tak uporczywą i każdodzienną pamięć, jaką przekazały nam dzieje rzymskie w historji stosunku starszego Katona do sprawy kartagińskiej, choć, oczywiście, źródłem tej pamięci nie musiałaby być nienawiść i chęć zniszczenia.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Nakręcanie konjunktury?

(r. p.) Ekonomja klasyczna, zakładająca swobodne kształtowanie się i wyrównywanie stosunków gospodarczych, musiała być oczywiście z tego powodu przeciwnikiem wszelkich środków, zmierzających do „sztucznego" stwarzania przez państwo warunków rozwoju sytuacji gospodarczej. Ta reguła klasyków przestała jednak być stosowaną przez te wszystkie państwa, które wywierają czyto z racji dzierżenia złota, czyto zapasów surowca, czy wreszcie stanowienia o komunikacji i transporcie międzynarod., wpływ na sytuację gospodarczą świata. Pomijając już „klasyczny" przykład gospodarki niemieckiej, należy pobieżnie wskazać chociażby na New Deal Stanów, na politykę gospodarczą Francji w ostatnich miesiącach, czy na działalność potężnych, często anonimowych, funduszów interwencyjnych Wielkiej Brytanji. Taki rozwój praktyki gospodarczej jest zrozumiałą funkcją ewolucji w dziedzinie pojmowania i realizowania zadań nowoczesnego państwa, oraz równie zrozumiałym wykładnikiem stosunków politycznych. Rzecz charakterystyczna, że nawet szereg apologetów klasycznej ekonomji domaga się w praktyce takich, czy innych posunięć ze strony państwa, tworzenie takich czy innych warunków w sytuacji gospodarczej.

W krótkiej notatce nie można — oczywiście wyczerpać tematu, zasługującego na szersze omówienie. Trzeba jednak w związku z dyskusją, ostatnio na ten temat się rozwijającą, wskazać na jedno. Oto polska polityka gospodarcza jasno wystosowała wezwanie do przedsiębiorczości prywatnej, w związku z niemogącą ulegać dyskusji sprawą uprzemysłowienia i wzmożenia wytwórczości. Czy kapitał prywatny odpowie? Oto jedna kwestja. A druga: czy kapitał prywatny polski posiada odpowiednie zasoby, któreby mogły w sposób dostateczny pchnąć pozytywne rozwiązanie wskazanych zagadnień? Kapitał prywatny zapewne — jak to już często robił — powie: niech państwo da kredyty. Kredyty te, zwykle długoterminowe, obracają się normalnie w przejęcie pakietów akcyj przez instytucje państwowe. Wydaje się, iż takich kredytów być nie powinno. Albo kapitał prywatny — przy maksimum koncesyj dopuszczalnych interesem państwowym — zdoła coś zrobić sam, albo też jeszcze raz okaże swą bezsilę.

Pieniądze państwowe, a więc społeczne, rodzące się z podatków ogółu obywateli, z drenażu rynku, który to drenaż dotyka zwykle głównie: świat pracy, czy też z dochodów zakładów państwowych i społecznych, nie mogą być w żadnym razie obracane na podtrzymywanie wąskiego szczytu piramidy społecznej w Polsce, jaką stanowią prywatni kapitaliści. Tego rodzaju nakręcanie konjunktury wydaje się niedopuszczalnem. Pieniądze państwowe, społeczne muszą być obrócone na takież, państwowe i społeczne inwestycje.

Zyski zagranicznego kapitału

(r. p.) „Kurjer Poranny" zamieścił interesujące rozważania na temat zysków, osiągniętych w Polsce przez kapitał zagraniczny w okresie od 1928 roku do 1933 roku. Przy obliczaniu sumy tych zysków nie można brać pod uwagę jedynie oficjalnie wykazanych cyfr. Wyrażają się one w kwocie 1 miljarda 333 miljonów, uchwyconych przez dane statystyczne, znajdujące się w bilansie płatniczym Polski. Będą to w szczególności zyski z udziałów kapitału zagranicznego w przedsiębiorstwach krajowych, zyski uzyskane z kredytów udzielonych tym przedsiębiorstwom, sumy z zysków i odsetek filij zagranicznych przedsiębiorstw, działających w Polsce. Do powyższej kwoty należy dodać 335 miljonów złotych, stanowiących sumę dopisaną na rachunkach na dobro wierzycieli zagranicznych, która to kwota nie mogła być, rzecz jasna, z tego tytułu uwzględniona w wykazach bilansu płatniczego. Wyżej wskazane kwoty nie wyczerpują jednak całości zysków kapitału zagranicznego, skoro w bilansie płatniczym nie można było uchwycić dalszej kwoty, a mianowicie 353 miljonów złotych, stanowiących przelewy na rezerwy. Po zsumowaniu wszystkich powyżej uwzględnionych pozycyj otrzymujemy kwotę 2 miljardów 21,2 miljonów złotych, która (z uwzględnieniem odchyleń) stanowi zysk kapitału zagranicznego, osiągniętego w Polsce w pięcioleciu 1928—1933. Statystyka powyższa staje się tem bardziej wymowna, skoro weźmiemy pod uwagę, iż z powyżej wykazanej kwoty uciekł zagranicę miljard i 333 miljonów złotych, które Polska w wskazanym okresie zapłaciła zagranicy i uwzględniła w bilansach płatniczych.

Tuwim i koło Tuwima

Omówiony przez nas w N-rze 8-ym „Narodu i Państwa" sposób reagowania przez „Wiadomości Literackie" na głośny list otwarty Melchjora Wańkowicza do Tuwima, wywołał w prasie jednolicie zgodną reakcję.

„ROBOTNIK" zgłosił w stosunku do potraktowania sprawy przez „Wiad. Lit." „najdalej idące zastrzeżenia".

„Pozostały nam z tamtego okresu pracy wartości, których nikomu nie wolno pomniejszać".

Drukowanie feljetonu Tuwima uważa „Robotnik" za błąd. Tembardziej za błąd uważa krzywdzący atak na Wańkowicza

„który nie należał nigdy do naszego obozu, którego znaliśmy z okresu pracy nielegalnej, jesteśmy więc w danym wypadku ludźmi najzupełniej bezstronnymi".

„MERKURJUSZ POLSKI", który jedyny w prasie polskiej zajął stanowisko z powodu listu otwartego Wańkowicza, że raczej nie należało listu tego pisać, teraz, obserwując metody „Wiad. Lit.", zatrąbił do odwrotu:

„Kilka tygodni temu poruszyliśmy na tem miejscu list świetnego literata p. Melchjora Wańkowicza do p. Juljana Tuwima. Osobista sympatja do autora „Szczenięcych lat" nie powstrzymała nas od wyrażenia wątpliwości, czy słuszne jest jego stanowisko w tej sprawie, jednakowoż klasa, reprezentowana przez talent p. Wańkowicza, sprawiła, że wątpliwości wysunęliśmy z całym respektem.

Mimo to, żałujemy, że wdaliśmy się w tę sprawę. Nie żałujemy z tego powodu, iżby się opinja nasza miała zmienić, gdyż jesteśmy wciąż tego samego zdania, ale żałość nas bierze dlatego, że znaleźliśmy się przypadkiem w towarzystwie, zgoła odbierającem ochotę do akompanjamentu. P. Wańkowicza zaatakowała taka socjeta i w ten sposób, że ogłaszam tu publicznie: biorę kapelusz i moje uszanowanie. Proszę uważać moje uwagi za niebyłe i do żadnego koleżeństwa nieobowiązujące. Upraszam też o skreślenie mnie z listy towarzyszów broni w tej sprawie i wszystkich następnych, gdyby przypadkiem tak nieprzyjemna dla mnie zgodność zdania zachodziła.

Jakże bowiem „Wiadomości Literackie" odpowiedziały na wystąpienie p. Wańkowicza? Pospolitą denuncjacją: ogłosiły, że p. Wańkowicz powoływał do życia szereg instytucyj czysto zarobkowych, nie jest więc ideowcem. Oto argument nr. 1. A oto argument Nr. 2: ogłoszono, że p. Wańkowicz pisywał z frontu korespondencję do „Gazety Warszawskiej". Argument nr. 3: kilka dosadnych obelg wyprodukowanych przez wonną muzę p. Zegadłowicza".

Podane przez nas w N-rze 18-ym oświadczenie „Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską dało asumpt p. Stefanowi Szwedowskiemu do umieszczenia na łamach „PIONU" obszernego artykułu, w którym rozpatruje sprawę jako wiceprezes Światowego Związku Polaków. Jak wiadomo, z akcji podjętej celem uczczenia pamięci lat walki o szkołę polską, powstały poważne sumy, które zasiliły szkolnictwo polskie poza granicami w kraju. Pan Szwedowski więc widział, jaką siłę dynamiczną ma w sobie wspomnienie tych walk toczonych o język ojczysty i zauważa, że sprawa Wańkowicz — „Wiadomości Literackie" — nie jest żadną polemiką personalno literacką, ale sprawą rozgrywającą się na płaszczyźnie społecznej. Poświęcając większą część artykułu wspomnieniom walki o szkołę polską i analizie stanowiska, jakie w tej walce zajmował Wańkowicz, p. Szwedowski pisze:

„Gdyby szło o sprawę Wańkowicza, nie uważałbym napewno za stosowne zabierać głosu, widzieliśmy bowiem z innej jego polemiki, że z pewnego typu publicystyką, działającą deprymująco na przeciętnego uczciwie pracującego człowieka, radzi sobie sam doskonale... ale tu chodzi o to, że monopol na kulturę polską znajduje się w nieodpowiednich rękach, nieodpowiednich na ciężką chwilę, na próby dziejowe, które przed Polską stoją".

Streszczając przebieg sprawy, p. Szwedowski tak kończy swój artykuł:

„Szkoła polska przygarnęła wszystkich, nawet tych, co przedtem podnosili przeciwko niej rękę. P. Tuwim nie miał przykrości z wypominaniem grzechów jego młodości. Ale inna rzecz wypominanie błędów przeszłości, a inna rzecz tolerancja podnoszenia tych grzechów do poziomu aureoli dzieciństwa. To trzeba napiętnować, tak, jak w imię zdrowia publicznego należałoby napiętnować człowieka, który mile wspomina policjanta, żandarma, czynownika, a choćby nawet samego dobrotliwego general-gubernatora, który corocznie szczodrobliwą ręką rozrzucał setki biletów loteryjnych w Ogrodzie Saskim wśród publiczności.

Podobny stosunek do rzeczy miał Wańkowicz.

Idąc za temperamentem publicystycznym, za tradycją swych prac, Wańkowicz zareagował listem otwartym do Juljana Tuwima, drukowanym w Narodzie i Państwie. W liście tym nic nie ułatwiał sobie sytuacji. O łamistrajkostwie Tuwima wiedział niewątpliwie, wszak raz po raz przyjeżdżał do Łodzi z objazdami organizacyjnymi. Bynajmniej nie dosiada konika żydowskiego, na którego byłby uprawniony siąść, nie narażając się na zarzut demagogji, wprowadzania do polemiki nieistotnych i nierzetelnych chwytów. Odzywa się do Tuwima, jako do wielkiego, utalentowanego poety z ogromnym szacunkiem, poświęca znaczną część listu analizie przedziwnie pięknego Tuwimowskiego języka".

„Trudno podać kwestję bardziej w rękawiczkach.

Nie dosyć tego. Kiedy pewien odłam prasy podnosi sprawę listu, aby upiec swoją pieczeń i rozrachować się z Tuwimem, Wańkowicz, biorąc asumpt z jednego z takich głosów, drukowanych w Prosto z Mostu, w liście do tego pisma raz jeszcze odgradza się od wszelkich rewindykacyj bojkotowych w stosunku do Tuwima, raz jeszcze stawia sprawę na gruncie zasadniczego rozważania o sprawach kulturalnych w Polsce.

Taki jest atak.

Ciekawa i charakterystyczna obrona.

W grę wchodzi nie Tuwim, który milczy, nie Tuwim, którego stan posiadania poetycki nie jest zupełnie atakowany.

Jest natomiast zaatakowany listem Wańkowicza stan posiadania Wiadomości Literackich. Ich środki działania obrony tego posiadania są znamienne.

W stosunku do Wiadomości Literackich istnieje coraz bardziej gruntująca się opinja: że nie są czynnikiem konstruktywnym.

Ci jednak, którzy tę opinję wydają — przeoczają, że nie jest to tylko wina Wiadomości Literackich. Jest to wina również bezideowości panoszącej się w Polsce, która wytwarza warunki do prosperacji tego pisma. Nie mogę pominąć także, że mimo tych zastrzeżeń Wiadomości Literackie na pustkowiu naszego czasopiśmiennictwa literackiego odegrały rolę drożdży w cieście.

Niestety, wszyscy zajęliśmy się w powstającej państwowości czem innem i drożdże poczęły nam zastępować powszedni chleb kulturalny. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł jeść bochenek, zlepiony z samych drożdży, bez wymiotów".

„List Wańkowicza jest dużym aktem odwagi cywilnej. Pisarz, którego książka ma się właśnie ukazać na rynku, pozwala sobie zaczepić środowisko Wiadomości Literackich w najboleśniejszem miejscu. Nie wzywa, nie rzuca obelg. Pyta.

Obrona Wiadomości Literackich idzie według, niestety, znanych wzorów: unika się jak ognia odpowiedzi wprost, na temat, bo to jednak w społeczeństwie polskiem byłaby pewna przegrana. Natomiast układa się pośpiesznie szmonces ośmieszający. Dotąd się zwykle takie rzeczy udawały i dobroduszne Aryjczyki z uciechą potem ten szmonces kolportowały. Szmonces dotąd był dobrą i celną bronią. Do poświęcenia i do miłości i do wysiłku ludzkiego i do pracy, do zmagań i do nadziei, do wszystkich wartości, któremi żyje serce zbiorowe, przyklejano dowcip, który powtarzać było w dobrym tonie. W tych dowcipach ginęła sprawa. A kiedy dowcipów nie starczy, szmonces Wiadomości Literackich potrafi kwestjonować prawo niewygodnego sobie człowieka do zabierania głosu w ogólnej sprawie z racji, że ten człowiek nie trzyma się szlacheckiej zasady, że interesy mogą robić tylko ludzie rasy specjalnie do handu uzdolnionej.

•

Odpowiedź „WIADOMOSCI LITERACKICH" na wszystkie wymienione tu artykuły, a zwłaszcza na najbardziej z nich zasadniczy art. p. Szwedowskiego, nastąpiła nie odrazu.

Dopiero Nr. 32 „Wiadomości" w „Kronice Tygodniowej" Słonimskiego przyniósł odkładaną przez 4 tygodnie reakcję. Wbrew zwyczajowi jest ona utrzymana w tonie napół poważnym.

Jednakże już pierwsze zdania odpowiedzi p. Słonimskiego kierują sprawę na boczny i przeznaczony do wyminięcia się tor. Brzmią one jak następuje:

„Pan Szwedowski występuje w obronie Wańkowicza. A raczej oskarża „Wiadomości Literackie", że nie podjęły rzeczowej dyskusji. Wydało mi się istotnie, iż na wielkie i patetyczne oskarżenie Tuwima, że jako dziecko nie brał udziału w strajku szkolnym, można odpowiedzieć żartobliwie".

Wyminięcie jest tutaj widoczne i podwójne. Leży ono z jednej strony w odwróceniu istoty zarzutu Wańkowicza, który polegał nie na tem, że „Tuwim jako dziecko nie brał udziału w strejku szkolnym" ale na tem, że jako uznany wielki poeta, mający niewątpliwe pretensje do ideowego stosunku do zagadnień, Tuwim dziś nie dostrzega, że idealizacja dawnej szkoły rosyjskiej w Królestwie jest sprzeczna z zasadniczą podstawą polskiego do tej sprawy stosunku. Z drugiej — wyminięcie to dotyczy również i sposobu reakcji „Wiadomości Literackich" na artykuł Wańkowicza, gdzie istotą był nietyle fakt żartobliwej reakcji, ile swoisty rodzaj żartu, mający cechy pewnego delatorstwa i zagrożenia, co zresztą wynika już z przytoczonych wyżej głosów polemicznych.

Podobnie i dalsze fragmenty odpowiedzi p. Słonimskiego budzą wątpliwości. A więc w sposób zgoła gołosłowny twierdzi p. Słonimski:

„Mogę się często mylić, mogę w swej działalności satyryka być często dokuczliwy, ale wierzę w to co piszę, a p. Szwedowskiego oskarżam, że w to co pisze nie wierzy".

Dyskusja istotnie trudna. Wiara jest zawsze pewną wartością, którą trzeba uszanować. A pozatem, trawestując jednego z dawniejszych poetów: „Cóż milsze nad dobre o sobie mniemanie?". Pozostawmy p. Słonimskiego w błogiem przekonaniu, że jest on unikatem pod względem szczerości, rzeczowości i objektywnej prawdy w sposobie stawiania i omawiania spraw poruszanych.

Ale są jeszcze i inne punkty artykułu p. Szwedowskiego, które wywołują ostry sprzeciw ze strony p. Słonimskiego. Tak więc na krytyczny stosunek do „Wiadomości Literackich" p. Słonimski odpowiada:

„Nie sądzę, aby francuskie, szwedzkie, angielskie, czy chińskie pismo literackie spotkało się z takiemi zarzutami. Być dobrym poetą, komedjopisarzem, lub feljetonistą, to w Polsce również nie wystarcza. Jeśli nawet pisarz okazuje pewną troskę o sprawy społeczne i polityczne, będzie oskarżony o cynizm i obojętność przez tych, którym jest niewygodny".

Zdziwienie p. Słonimskiego co do powyższego punktu skolei może nieco dziwić. To nietylko w Polsce nie wystarcza być dobrym „poetą, komedjopisarzem, lub feljetonistą". Zwłaszcza, jeśli się równocześnie „okazuje pewną troskę o sprawy społeczne i polityczne", a więc nie poprzestaje na dziedzinie twórczości wyłącznie artystycznej. Wówczas kierunek oddziaływania nie może być dla nikogo i nigdzie, a w Polsce bardziej niż gdziekolwiek, obojętny. Poprostu dlatego, że my nie chcemy mieć w naszych warunkach geograficznych i politycznych ludzi w stosunku do pol-

skości, używając wyrażenia ks. Pirożyńskiego, „moralnie obojętnych", zwłaszcza, jeśli wywierają oni wpływ na umysłowość polską.

Tego rodzaju stosunek do omawianego zagadnienia nie jest złośliwym wynalazkiem p. Wańkowicza dla zrobienia przykrości Tuwimowi, ani p. Szwedowskiemu dla porachunków z „Wiadomościami Literackiemi". Nie należymy do tych, którzyby zgóry odmawiali polskości Tuwimowi. Lecz jeśli tak, to nie możemy przyjąć stanowiska polskości niewyraźnej, połowicznej i z zastrzeżeniami.

Dla wyjaśnienia i podkreślenia sprawy zrobimy tu porównanie, którym p. Tuwim, niewątpliwie wielki poeta w żadnym razie nie powinien czuć się dotknięty. Niejaki Juljusz Słowacki nie walczył w Powstaniu Listopadowem. Przy ocenie tego faktu, nie jest dla nas rzeczą obojętną, że ów Juljusz Słowacki niejednokrotnie ostro — i bardzo ostro dawał wyraz żalowi, że był w tej sprawie „pełen winy", zamiast ewentualnie wybrać inną drogę i dowodzić, że był w tej sprawie bardziej od innych mądry i przewidujący. Czy możemy nie mieć zastrzeżeń — zachowując proporcję faktów i ludzi — gdy Juljan Tuwim z rozczuleniem wspomina swoje r o s y j s k i e czasy szkolne, a równocześnie domaga się, aby to w niczem nie zmieniło stosunku do niego, jako do p o l s k i e g o poety.

Sprawie tej poświęcamy dużo miejsca i dużo uwagi. Jeśli powracamy do niej raz jeszcze i to w sposób zasadniczy, to niedlatego, żeby zachęcił nas do tego feljeton p. Słonimskiego, który wprawdzie próbuje być poważny w tonie, lecz jest wykrętny w treści. Czynimy to dlatego, że przywiązujemy dużą wagę do dwóch czynników, które się w danym wypadku splotły: 1. do znaczenia Tuwima jako poety, 2. do faktu, że Polakiem nie można być połowicznie i za wypowiedzeniem.

•

Już po złożeniu niniejszego artykułu poczta przyniosła nam nowy głos w omawianej sprawie. Głos ten jest dostatecznie charakterystyczny, by poświęcić mu parę słów uwagi.

Panu Słonimskiemu — w związku z jego kroniką — przyzedł w sukurs nowy sprzymierzeniec: „SŁOWO" wileńskie w notatce podpisanej literami naczelnego redaktora pisma p. Cata.

Pan Cat deklaruje gotowość zamknięcia dyskusji przez wtrącenie własnych 3 groszy. Niestety, zamknięcie dyskusji wymaga zwykle szczególnej objektywności i ostrożności sądu. Pan Cat ani w tym wypadku, ani w innych, temi cechami w swej działalności publicystycznej się nie odznacza.

Pan Cat, w charakterze generalnego referenta sprawy, nie ogranicza się do rzeczowego przedstawienia poprzedniej dyskusji, jakby wypadało z roli ostatniego mówcy. Wprowadza nowe momenty, w formie anegdot, co do których sam się zastrzega, że nie wie, czy są prawdziwe, a które w formie przez niego przytoczonej napewno prawdziwe nie są. Co zaś do samej sprawy, to traktuje ją z rozbrajająco naiwnem uproszczeniem:

„1. Za skierowanie dziecka do takiej czy innej szkoły odpowiedzialni są przedewszystkiem rodzice. Wina, którą się Tuwimowi wypomina jest przedewszystkiem winą jego rodziców, a tych zdaje się i tak dosyć Tuwimowi się wypomina.

2. Dyskusja jest bezcelowa. — Był czy nie był w szkołach rosyjskich Tuwim już tego dziś nie naprawi. Jestem przeciwny ocenianiu człowieka według jego zasług czy występków, które popełnił między 10 a 18 rokiem życia.

Pan Cat ma różne wady, które sprawiają, że z roli referenta objektywnego trudno byłoby mu wywiązać się dobrze. Niemniej jednej rzeczy nie można mu zarzucić: braku inteligencji. Skąd więc pochodzi, że w tej sprawie p. Cat nie dostrzega tej zasadniczej różnicy, że nie chodzi *absolutnie* o fakt, że Tuwim *był* w szkole rosyjskiej, ale o ton jego artykułu o tej szkole, zamieszczonego przed paru miesiącami w „Wiadomościach Literackich". Zaś pisząc ten artykul Tuwim miał nie 10 — 18 lat, ale powyżej 40. Równocześnie zaś nie jest przyjęte, aby za artykuły dorosłych ludzi odpowiadali ich rodzice. Stąd też genjalny argument, że w danej sprawie odpowiadają rodzice, bynajmniej nie może być uważany za istotne przecięcie i załatwienie sprawy. Strzał poszedł mimo.

Czy jest to brak inteligencji w rozeznaniu sprawy? — Nie, napewno, nie. To tylko brak sumienności w zapoznaniu się ze sprawą, o której wydaje się sąd zanadto prosty, aby mógł być słuszny.

Lecz w polemicznej notatce p. Cata nie jest najważniejszy ten moment, podobnie jak nie są najważniejsze takie czy inne anegdotki ze znakiem zapytania. Najbardziej charakterystyczny jest punkt inny.

Pisząc o p. Tuwimie, p. Cat — jako jedną z okoliczności łagodzących — wymienia jeszcze, że jest to poeta, „o którym się sto razy pisało jako o Żydzie, piszącym po polsku, któremu się wypomina, że on, czy jego rodzina złamali nakaz solidarności *bądź-cobądź obcej im społeczności*" (podkr. nasze).

I tutaj jest punkt zasadniczy, poruszany już w poprzednich uwagach, zwróconych w stronę p. Słonimskiego bezpośrednio. Jeśli przyjmiemy stanowisko obrońcy Tuwima, p. Cata, że Tuwim jest reprezentantem „bądź-cobądź obcej społeczności" — sprawa sama przez się upada. Chcielibyśmy jednak wiedzieć, czy takie postawienie sprawy istotnie odpowiada stanowisku zarówno „Wiadomości Literackich", jak — w szczególności - Juljana Tuwima. Ze swej strony powiemy jasno. Obojętne nam jest, czy „Wiadomości Literackie" powiedzą tak, nie, czy znajdą jeszcze trzecią formułę. Juljana Tuwima przywykliśmy uważać za *polskiego* poetę. I stąd wolelibyśmy, by jego odpowiedź i jego stanowisko nie były dwuznaczne.

Prawdziwy przyjaciel pisma — zjednuje mu Prenumeratorów!

Z WYDAWNICTW

Zagadnienia bałtyckie

W Nr. 19 „Narodu i Państwa" omówiliśmy obszernie dwa pierwsze zeszyty toruńskiego „Baltic Countries". Obecnie mamy już w rękach Nr. 1 tomu II (trzeci ogólnej kolejności) tego pisma.

Sądząc z głosów obcych, zarówno perjodyków naukowych, jak i prasy codziennej, musimy dojść do wniosku, że dobrze się stało, iż Instytut Bałtycki przystąpił do tego wydawnictwa. Dziwne to może, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dopiero dzięki powstaniu „Baltic Countries" zagranicą wielu zrozumiało, jak istotne są nasze zainteresowania sprawami bałtyckiemi. Oczywiście, było to do przewidzenia, można obserwować mniej, lub bardziej poważniej dąsy w Niemczech, utrzymane zresztą w danym wypadku naogół w tonie wyjątkowo kurtuazyjnym. Między wierszami artykułów poświęconych owemu pismu toruńskiemu, ukazujących się na terenie Rzeszy, wyczuwa się nietylko pretensję o to, że pozwalamy sobie zajmować się Bałtykiem, ale przedewszystkiem niejako żal, że wydawnictwo stoi na tak wysokim poziomie, że jest publikowane w języku rozpowszechnionym na całym świecie, że jest czytane w krajach anglo-saskich, gdzie walnie przyczynia się do zrozumienia, iż Polska ma bodajże większe prawo niż Niemcy do zabierania głosu w sprawach bałtyckich (warto tu zwrócić uwagę na ataki, jakie spowodowało oświadczenie redakcji p. t. „Editoral policy" na odwrocie okładki pisma).

A trzeba przyznać, że ostatni numer „Baltic Countries", przedstawiający się pod względem objętości i szaty zewnętrznej niemniej okazale od poprzednich, pod względem różnorodności i doniosłości omówionych zagadnień jest może jeszcze bardziej interesujący.

Część pierwsza zawiera 9 obszernych artykułów, wśród których na plan pierwszy wybija się oparta na nieznanych dotychczas, świeżo udostępnionych źródłach, rozprawa Reddaway'a (Cambridge) p. t.: „Canning i Bałtyk w roku 1807". Praca ta rzuca zupełnie nowe światło na sprawę zbombardowania bez wypowiedzenia wojny przez Anglików w r. 1807 Kopenhagi i zagarnięcia całej floty duńskiej. Studjum to jest i z tego względu niezmiernie ciekawe, że zręcznie odsłania kulisy bardzo interesującej gry dyplomatycznej. Niemniej wartościową jest rozprawa Widajewicza (Poznań) „Zachodni Słowianie na Bałtyku", nie wykraczająca poza wiek XII, poruszająca obszernie mało znane dzieje głębokiego średniowiecza Słowian nadbałtyckich, ich stosunków z krajami skandynawskiemi, głównie z Danją. Z pośród rozpraw historycznych należy również zwrócić uwagę na ciekawą pracę Piwarskiego (Kraków) o polityce bałtyckiej Jana Sobieskiego.

Z pośród artykułów odnoszących się do zagadnień współczesnych polskich wymienimy Wiśniewskiego (Warszawa) „Organizacja statystyki w Polsce" i gruntowną analizę naszego eksportu zagranicznego w latach 1928 — 1935 opracowaną przez Landaua (Warszawa). Jeżeli chodzi o inne państwa bałtyckie, to omówione zostało zagadnienie emigracji łotewskiej do Stanów Zjednoczonych A. P. (Roucek, Nowy Jork), oraz emigracji fińskiej do Ameryki Północnej (Van Cleef, Columbus). Pozatem został opracowany finlandzki bilans płatniczy w latach 1922 — 1934 (Tudeer, Helsingfors i zanalizowany handel zagraniczny Szwecji (Nelson, Lund).

Na część drugą, zawierającą informacje o ruchu naukowo-kulturalnym w krajach bałtyckich złożyło się 7 artykułów, z których dla przykładu wymienimy następujące tytuły: „Duch Kalewali" (Loorits, Tartu), „Pionierzy współpracy polsko-szwedzkiej" (Bohm, Poznań), „Bibljoteki ludowe w Szwecji" (Küntzel, Sztokholm) itd.

W bardzo ciekawym i obszernym dziale polemiczno-recenzyjnym zamieszczono 53 sprawozdania z nowych wydawnictw naukowych, wiążących się z zagadnieniami bałtyckiemi. Bardzo pokaźnie przedstawia się również dział bibljografji, zawierający m. in. bibljografje najnowszych wydawnictw poszczególnych gałęzi wiedzy w państwach bałtyckich (w omawianym numerze mamy podaną ekonomję i historję duńską, oraz szwecką geografję basenu bałtyckiego).

Całość zamyka, jak i w poprzednich numerach, dodatek statystyczny opracowany przez dr. Gazela, obejmujący tym razem obieg pieniężny i kredyt, przedsiębiorstwa (spółki i kooperatywy), ceny, stan zatrudnienia i wynagrodzenia, szkolnictwo, finanse państwowe, oraz armję, flotę wojenną i lotnictwo wojskowe państw bałtyckich.

Na zakończenie należy zaznaczyć, że w opracowywaniu omawianego zeszytu „Baltic Countries" wzięło udział 46 uczonych, w tem 22 polskich, a 24 obcych.

JAW.

KSIĄŻKI NADESŁANE

J. Jasiński: **„Czy spółdzielnie spożywców korzystają z przywilejów"**. Warszawa 1936. Nakł. „Społem".

Marjan Rapacki: **„Program gospodarczy spółdzielni spożywców"**. Warszawa 1936. Nakł. „Społem".

„Pobojowiska Legjonów — Kościuchnówka — Opatowa". Warszawa b. r, w. Wyd. Komitetu opieki nad pobojowiskami Legjonów Polskich i Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich.

St. Strumph Wojtkiewicz: **„Pasierb Europy"**. Warszawa 1936. Nakł. Wł. Michalaka i S-ka. Dawniej Księgarnia Książnica-Atlas.

PRZEGLĄD PRASY

Reforma rolna czy... „pic z elektromontażem"

Projektowana reforma rolna, według opozycji i z prawa i z lewa, jest tylko propagandowym wybiegiem rządu:

ROBOTNIK uważa, że reforma rolna wygląda mniej więcej tak w zamierzeniach rządowych:

„Witosa wam nie oddamy, ale zato trochę ziemi wam dodamy".

WIECZÓR WARSZAWSKI omawia sprawę w artykule p. t.: „Lep na muchy".

Wzruszającą troskę o chłopa zdradzają obszarnicy i wielcy przemysłowcy:

CZAS pisze:

„cena, którą tak niewłaściwie proponowano ludziom za ich pogiąwy polityczne, przy swej płaskości sławienia sprawy nie była, w dodatku, ceną uczciwą. Chciano i tu chłopa oszwabić .

DEPESZA, organ przemysłowców łódzkich, okazuje się, broni oddawna chłopskich interesów:

„Chłop jest najżarliwszym wyznawcą tego wszystkiego, o co w „Depeszy od lat walczymy... dochodzimy więc tu do najściślejszej więzi między chłopem i przemysłem .

GONIEC WARSZAWSKI w art. St. Grabskiego stwierdza, że sami chłopi w chwili obecnej stawiają polityczne zagadnienia na pierwszym planie, bo

„w rezolucjach wręczonych w Nowosielcach gen. Rydzowi nie ma ani słowa o jakichkolwiek chłopskich bolączkach, o reformie rolnej, cenach zboża, podatkach, czy długach".

Zdawałoby się, że zagadnienie to w Polsce, która ma dwa i pół miljona karłowatych gospodarstw, nie istnieje, że nie istnieje straszliwy problemat: ciążąca nad gospodarką Polski fikcja całej wielkiej klasy — ziemiaństwa, która właściwie nie jest właścicielką swoich warsztatów, nie jest i nie będzie, bo konjunktura 1929 r. się nie powtórzy, a długów przerastających wartość objektów rolnych nikt im nie podaruje. Poprostu — chytry wąż „Boa" (biuro akcji i propagandy p. Stpiczyńskiego) wymyślił całą sprawę.

Chłopi, mający znagła tylu opiekunów życzliwych i jednowierców, bynajmniej nie lekceważą sobie reformy, ale nie wierzą, aby została ona przez rząd obecny przeprowadzona:

ZIELONY SZTANDAR pisze:

„Wyrwania z korzeniem szlachetczyzny odrodzonej wraz z niepodległością — „strzęp" reformy rolnej nie dokona. Uczyni to dopiero gromada chłopska, obejmująca przez swych czołowych działaczy ogólny ster spraw państwowych".

PIAST w art. p. t. „Żadnych złudzeń, Panowie!", pisze:

„Nikt nie wierzy w powodzenie ani w użyteczność dla chłopa i państwa reformy rolnej, pojętej jako środek ubezwładnienia politycznego wsi...

..Święto chłopskiej siły, które wieś polska obchodzić będzie w dniu 15 sierpnia, pokaże, jeśli ktokolwiek jeszcze nie wie tego, lub ma jakieś złudzenia, z jakim ruchem, z jakim programem i z jakimi ludźmi wiąże chłop polski swoją nadzieję i swoją przyszłość".

Na tego rodzaju niewiarę trudno jest szukać argumentów.

Pozostaje chyba jedno wyjście: „na złość" ludowcom istotnie ruszyć zagadnienie reformy rolnej z martwego punktu.

Oj, bo ja coś pokażę...

Piastowcy więc odkryją karty już 15 sierpnia, ale endecy długo jeszcze zapewne każą się prosić.

Swego szczegółowego programu, — pisze „Gazeta Warszawska" w artykule polemizującym z „Narodem i Państwem"

„obóz narodowy rzeczywiście nie ogłasza. Poważny bowiem ruch ogłasza swój szczegółowy program dopiero wtedy, kiedy bierze władzę w ręce i ma możność jego wykonania. Nie daje się obcym do wykonania swojego programu".

Przypomina się niezbyt skromna anegdotka o swawolnym Dyziu, który chodził i wciąż groził niańce „oj, bo ja coś pokażę".

„Zniecierpliwienie i poszukiwanie"

Dyskusja o reformie rolnej jest tylko najbardziej nasiloną częścią dyskusji, prowadzonej na różnych odcinkach, a której możnaby dać jedno miano: narastające zniecierpliwienie:

Zdaniem „CZASU", sytuacja poczyna przypominać sytuację z maja, z czasu ostatnich dni Kościałkowskiego. Pod wpływem pamiętnych słów Naczelnego Wodza dano kredyt i tajemniczym poczynaniom p. Stpiczyńskiego i walce premjera Składkowskiego z biurokratyzmem i pracom przygotowawczym p. Koca.

Ale tymczasem, jak pisze „Myśl Polska"

„przyszedł Toruń, Ostrów-Tuligłowy i Doboszyński, i Krzeszowice z krwią i trupami, i Parylewiczowa.

Coś tu jest nie w porządku.

Naród spala się w oczekiwaniu na wielki program pracy dla państwa, rozmiarami odpowiadający potrzebie wielkiej i naglej".

Pismo uważa, że brak kapitałów nie jest dostatecznem wytłomaczeniem:

„widzimy także, że nasi sąsiedzi rozwiązują jakoś to zagadnienie bez fabrykacji sztucznych banknotów, bez pożyczek zagranicznych, których im tak samo nikt nie chce dać, jak i nam, bez zapasów złota, którego my także nie posiadamy.

Tymczasem społeczeństwo nic takiego nie widzi i dlatego słusznie jest zaniepokojenie. A nawet widzi rzeczy wręcz odwrotne: niekończące się strajki okupacyjne w wielkim przemyśle już nie o lepsze płace lub warunki pracy, lecz o samą możność pracy, w obawie o likwidację zakładów, o źródło utrzymania .

Sformułowanie tych nastrojów jest dosyć charakterystyczne dla tego, co szerokie masy coraz żywiej poczynają mówić. Obywatel bierze do ręki jedyną już rządową wykładnię (bo „Gazeta Polska" z powodzeniem opisuje wszystkie góry i przesmyki świata — geograficzne i polityczne — byle nie Polski) „Kurjer Poranny" i znajduje tam pouczenia o „Fałszywym micie wielkiej pokuty", do jakiej nawoływał ze swym programem równania w dół Matuszewski.

„Kurj. Por." uważa, że o ile lata inflacji spowodował fakt, że produkcja nie nadążała za obrotem pieniężnym, to nie ma celu wpadać w drugą ostateczność przez stwarzanie sytuacji, w której obrót pieniężny nie może nadążyć za produkcją. To też

„również lekkomyślnością jest wyrzekanie się zabiegów w kierunku podniesienia siły nabywczej ludności na drodze uruchomienia aparatu kredytowego państwa pod pretekstem, że zabiegi te musiałyby wywołać zjawiska, analogiczne do roku 1920".

WŚRÓD KSIĄŻEK

Syndykalizm francuski

Niewątpliwie, w obecnych czasach pojawienie się książki poświęconej francuskiemu syndykalizmowi jest zjawiskiem wybitnie pomyślnem, gdyż prąd ten wycisnął silne piętno na wielu ruchach współczesnych, a i w samej Francji okazał się ostatnio bynajmniej nie takim przeżytkiem za jaki chciano go uważać. Niewątpliwie też książka p. H. Witkiewicz-Mokrzyckiej „Syndykalizm francuski i jego znaczenie społeczne" (Warszawa 1936) *w tej mierze* spełni swe zadanie. Stanowi ona skrót dziejów, rozwoju, ideologji i stanu obecnego niezależnego ruchu zawodowego. Niewątpliwą jej wartość stanowią wszelkie dane cyfrowe, obrazujące dzieje tego ruchu, jak również i szereg cytat, uwidaczniających rozwój jego myśli i ideologji.

Natomiast zbytecznem jest to wszystko, gdzie autorka bezpośrednio czy pośrednio wyraża swój stosunek do ideologji syndykalistycznej. Autorka ma dużą sympatję dla francuskiego syndykalizmu, ale sympatja ta wypływa z ogólnych przesłanek o pewnym liberalno-humanitarnym podkładzie, z jednej strony dowodzących, że autorka istotnej, twardej i żołnierskiej ideologji syndykalizmu nie zrozumiała, z drugiej zaś strony, przechodzących miejscami w iście kobiecą filantropijność. Przykładem tego jest np. umotywowanie silnego w pewnym okresie napływu młodzieży akademickiej do szeregów syndykalistycznych przez „wrodzoną młodzieży miłość do ideałów społecznych" (str. 57). Bynajmniej, nie mając zamiaru zaprzeczać tej „miłości", chcemy tylko wskazać, jak, użycie tego wyrazu dowodzi zupełnego braku wyczucia *tonu* syndykalistycznego.

Tak samo przedstawiając w skrócie myśli i idee twórcy syndykalizmu, Jerzego Sorela, widzi tylko niestałość poglądów, nie próbuje jednak tej rzekomej niestałości tłumaczyć; tłumaczy tylko, że Berth, przyjaciel Sorela, przez pewien czas bratał się z monarchistami, z którymi łączyła go „nienawiść do demokracji i solidaryzmu". To nienienawiść do demokracji i solidaryzmu kazała iść Berthowi do monarchistów (jak wiemy wrócił on później do rewolucyjnego syndykalizmu), czy Sorelowi chwalić prawie równocześnie Lenina i Mussoliniego. To nie nienawiść do solidaryzmu — bo czyż monarchiści głosili walkę klasową? — ale nienawiść do „moralności spożywców", do drobnomieszczaństwa, spokoju i kwietyzmu, szarego sobkowskiego „przeciętnego" życia zjadaczy chleba i małych rentjerów, tęsknota do czegoś nieprzeciętnego, tęsknota do wielkości, bohaterstwa, wzniosłości („sublime"). I tu, w tem wiecznem poszukiwaniu na tym, zdemoralizowanym przez burżuazję świecie, pierwiastków cnót rycerskich, heroizmu, tkwi źródło tej tak zwykle niezrozumianej rzekomej „niestałości poglądów". Autorka widzi ten sorelowski głód „ wzniosłości" — nie potrafi go jednak dobrze zrozumieć.

Tak samo opisując dzieje syndykalizmu francuskiego podczas wojny, autorka pomija zupełnie charakterystyczny epizod, że najbardziej ideowe elementy tego ruchu i to elementy przedtem i *potem* najbardziej „lewe", głoszące skrajny antymilitaryzm — znalazły się w okopach, krwią swoją udawadniając, że syndykalistyczny głód heroizmu nie był pustym frazesem. Autorka o tem nie wspomniała — być może, że nie potrafiła tego w żaden sposób połączyć ani umotywować; zabrakło jej tego właśnie, wyżej wspomnianego wyczucia istotnego podkładu ideologji syndykalistycznej.

Wogóle sprzeczności jest w książce wiele — płyną one z niepotrzebnego zaprawiania jej niedość jeszcze wyrobionemi sądami autorki.

J. R.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie
Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771 ,lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14

Wydawca: **Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp.** Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: **Adam Andrzejewski**

Z. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33
w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem